

GŁOS

DWUTYGODNIK

13/14

LITERACKI

75 GROSZY.

Rok 1.

WARSZAWA, 1 sierpnia — 1 września

R. 1928

ANDRZEJ WOLICA

FRAGMENT 14

Z POEMATU „PIEŚŃ O PRACY”

Kiedy słońce wtopi się w horyzont,
Jak czerwona, wielka zgaśnie żagiew.
Ścichnie wrący, szumiący krwi prąd.
Zmilkną ludzie, których dotąd żart gniew.

Od czerwonych wschodów do zachodów,
Zachłystnięci świętem winem pracy
Wielkie armje czarnego narodu,
Szwerców, krawców, mularzy, palaczy.

Przez roboty wścieklej twarde jarzmo
Przygarbieni pod wielkim ciężarem,
Idziem z jasną, pełną prawdy twarzą,
Niesiem w żyłach krwi strumień i wiarę.

Choć nam kości pogryzła gruźlica,
I choć kwas nam powypalał oczy,
Jednak codzień nasz pochód w ulicach,
Jak dziejowy dudni iloczyn.

Wielką prawdą jest prawda istnienia.
Wielkiem szczęściem jest dziejowy pochód.
Niech nas Wieczność, w świętym dniu li-
czenia,

W księdze losów zapisze na rozchód.

Bo jest szczęściem być gorącą mierzwą,
Wyrzuconą na czerwoną ziemię,
Wielkiej pracy małe dni nie przeżrą.
Choć przeorze ją zmęczenia lemiesz.

I pójdziemy ramię przy ramieniu,
Posplatamy dłonie niezmęczone.
Wielką pracą zbudujemy dzień ów,
Co radością czerwoną zaplonie.

Twardej pracy zbudujemy ołtarz,
Wielki ołtarz bez wołów i bez świc.
Jeno ramion wyciągniętych krzyż nasz,
Będzie wołał: Ty nas słońce prześwieć!

MARJAN MARKOWSKI

MARSZ

Z zamętu głów i granic,
Zgłuszeni słów petardą,
Rozpoczynamy dzisiaj
Nasz gigantyczny marsz
Słoneczną awangardą!

W tupotem rąbanym rytmie
Krok nasz miarowo grzmi —
Krok nasz jak żywioł grzmi,
Gdy żywą niesiemy wiarę:
Falę zbuntowanej krwi —
Rozpłomieniony transparent.

To nic, to nic, że jeszcze
Ktoś z nas po drodze padnie,
To nic, to nic, że jeszcze
Śmierć niejednemu w pierś
Miłośnię wbije bagnę —
Teraz my, my tu mówimy —
I obliczony krok, —
Teraz my tu mówimy
Bez serafickich uniesień —
A

Przez ból, co nam życie ostroga
Wbija morderczo w bok.
My — tu — krzyknijemy
Rytmem czerwonych serc:
To my, to my jesteśmy
Logarytmicznym błędem,
To my, to my jesteśmy
Świata bolesnym protestem!!

My, my tu strzelimy
Okrzykiem, jak torpedą
I wjedziemy zwycięsko
Kawaleryjską szarżą
W wieczne milczące
Niebo!!!

EMIL SCHÜRER

ZNACZENIE PRACY

Rola, jaką w dziejach ludzkości kolejno odgrywały klasowe idee, podstępna siła tych idei, kierujących wezbrane namiętności tłumów w pożądane łożyska — jest po dziś dzień nieprzedawniona, choć nader różnorodne są te idee... Z wieku na wiek preparowane ad hoc, z całem finezyjnym znawstwem psychiki łatwowiernych mas, blakną jednak i wstydliwie kurczą się te „idee” przed młodzieńczym rozmachem nowych wieków. Tak to przed sceptycyzmem nowożytnej filozofii duch ateistycznych papieżów, z zażenowaniem poprawiając sobie tjarę na apostołskiej lysinie, szeptał strokany: — my wprawdzie wątpić i grzeszyć możemy, ale dla ludu, dla ludu przecież niezbędna jest wiara... Lecz możliwości świętych wojen i religijnych wypraw, czasy krwawych misjonarzy, krzyżowców, krzyżaków, czy też równie godnych hajduków półksiężyca bezpowrotnie już wtedy minęły — starły się dwie ekspansywne siły dziejowe pod godłem wrogich sobie znaków religijnych, któreby już dziś najemnej rycerskiej hłasty do żadnej świętej walki nie zagrzały. Długowieczna ostoja feudalizmu — z cynizmem dla klasowych celów uprawiana religia, — zmurszała w sercu mauluczkich i jako czynnik polityczny upadła w chwili gdy na zaborcze mieszczaństwo przyszła kolej wkroczyć na arenę z proklamacją kapitalistycznej republiki.

Nakaz religijnej rezygnacji dla społecznie upośledzonych nie mógł już jednak być nadal dostateczną asekuracją moralną dla nowego staru rzeczy; trzeba było koniecznie rozejrzeć się za nową ideą, którąby skuteczniej zasugerować można przyszyłym obrońcom zakapturzonych imperjalizmów — i znaleziono: współczesny nacjonalizm, Deutschland über alles, tradycję rzymskiego cesarstwa, brytyjską misję cywilizacyjną w koloniach tudzież Polskę, ostrożnie a pociechutku czczone... w tradycji szczerbca i Bolesława Chrobrego. Jak dalece skutecznym okazał się ten przedwojenny jeszcze wynalazek, tego straszliwie dowiodła ostatnia wojna, gdy wilhelmińskie „wytrwać” przy pełnych spiżarniach do ostatka niemal gorączkować mogło wygłodniały naród, a wielonarodowa socjalistyczna brać mordowała się bohaterko na ojczyznianych okopach.

Podnoszenie pojęć ściśle ograniczonych do jakowejś metafizycznej potęgi, to nadawanie religijnego i kosmicznego wprost znaczenia sprawom o konkretnym, społecznym charakterze, cechujące w równej mierze wszystkich teoretyków, którzy do zagadnień ekonomicznych przystępują z kategoriami teologii, z dziedziczną skłonnością do schematycznego myślenia absolutami — co świadomie lub nieświadomie znakomicie pozwala im zamazać na błękitno i zacierać sprawy ostre, gwałtowne i jednoznaczne. Współczesnych polityków natomiast cechuje czasem w tym względzie rozbijający cynizm: wiara w najpierwotniejszą jedność włoskiego narodu, rzekomy rzymski ekskluzywizm nie przeszkadza wcale Mussoliniemu italianizować Niemców w pld. Tyrolu; widac, nie przeraża go możliwość germańskiej domieszki w tajemniczym składzie latyńskiej krwi — (zresztą jest pono historja mistrzynią eugeniki...). Niemniej bezpretenjonalnie, niż wysokie pojęcie, narodu interpretuje czynem ten otwarty polityk pojęcie wolności; „wolność — powiada — to sprawa przestrzeni. Dużo kraju — dużo wolności.” Tak pojęta wolnościowa dążność — w myśl napoleońskiej maksymy: rację ma zawsze zwycięzca — bez zmużenia powiek „uświęca” każdą śmiałą aneksję. Przeto też lepiej teraz rozumiem patriotyzm prof. Romera, gdy generalizując znikomy procent wypadków, stwierdził

swego czasu z zadowoleniem, że „linja demarkacyjna między polską a ukraińską ludnością wieje się przez co drugie małżeństwo...” Snać i jego wcale nie przeraża hajdamacka domieszka w karmazynowej lechickiej rasie... bo burżuazyjne pojęcie narodu demaskuje się wbrew ich teoretykom nie jako żadna mistyczna jednorodność, a poprostu jako mocarstwowa ekspansja, jako ekonomiczny głód przestrzeni, podatników, nafty i węgla.

Na zgłębianie istotnego, kulturalnego znaczenia narodu, nie tu teraz miejsce. Wymagałby specjalnego studjum etnologa taki fenomen współczesności, jak skryształizowanie się odrębnego typu człowieka... rasy amerykańskiej; jak wyłonienie się ściśle odgraniczonych organizmów narodowościowych w Stanach południowych: Urugwaj, Brazylja, Chile, Argentyna... Zbiorowiska ludzi i ras wszystkich kolorów, centryluga wypadków i wspólnoty interesów jak śmietana w narodowe masło zbijanych, wyrabiają w sobie zwolna poczucie gromadnej przynależności i wspólną mowę, obyczajami, cechami lokalnymi i rosnącą tradycją spajają się stopniowo w narodowy organizm. — I jeśli ze świadomością już klasowego celu okrojowana przez burżuazję idea narodowej jedności ma w czasie wojny podtrzymywać ducha agresywnego nacjonalizmu — to w czasie „pokoju”, na froncie powszedniej walki ekonomicznej, ma ducha tego podtrzymywać hasło „jedności w pracy”.

Ten przydługi może wstęp wydawał mi się koniecznym, by w syntetycznym skrócie ująć genezę luzujących się kolejno klasowych idei, których ostatnim objawem, klasycznym w swej dwulicowej roli, jest modne dziś w Europie hasło jedności narodowej w pracy, w odbudowie wojną imperjalistyczną zniszczonej ojczyzny, której — co prawda — wojna taka w każdej chwili znowu zagraża...

Tak propagowane hasło pracy i solidaryzmu ma wszelkie cechy podniosłej skruchy po bratobójczej rzezi — trzeba niezmordowanie, po bohaterku pojętą pracą ludu, pod egidą rządzącej „elity”, pokrzepić czczające mocarstwa, by ze spoloną siłą odrodzonej jedności narodowej móc każdej chwili odeprzeć zbrojne zakusy złych sąsiadów... Trzeba sobie pozwolić w imię solidaryzmu ofiarne i ufnie czas pracy do 12 i więcej godzin przedłużać i także płace obciąć i jak czasu wojny ochotniczo niosło się życie w ofierze trzeba w czas pokoju ofiarować Narodowi pracę swoją i mienie — aby w ten sposób uszanowaną być mogła gospodarka elity, aby od upadku ocalić zbankrutowaną walutę i wzmożnić posady solidarystycznego państwa... Jakże wzruszająco brzmić musiały słowa Mussoliniego, gdy wołał na trzecim zjeździe faszystowskich syndykatów: „Trzeba, żeby wiedzieli Włosi, żeby wiedział świat cały, że robotnicy i wieśniacy włoscy zgodzili się (!) na obniżenie zarobków, co w cyfrach wyniosło kilka miliardów, biorąc wszędzie udział w walce o lira...” Owszem, wiemy jak wygląda taka zgoda przy krwawym „uśmierzaniu” najmniejszej tendencji strajkowej, lecz nie wiemy wcale, ile n.p. w cyfrach wyniosła dobrowolna ofiara z burżuazyjnego mienia, z magnackich latyfundi, ze stu procentowych fabrykanckich zysków, na rzecz ojczyści lira. Zmaltretowany wieśniak i robotnik włoski nędzą swoją podźwignął „wspólną” narodową walutę — bo przecież wartość ta „służy jednako jednemu i drugiemu” (Miller) — Mussolini zaś i burżuazja potrafią być wdzięczni...

Jako szermierz tak pojętej, lecz na swój uniwersalistyczny sposób i z nieznacznym proletariackim ukłonem propagowanej ideologii pracy zdemaskował się ostatnio w Polsce Jan Nepomu-

ALEKSANDER MALISZEWSKI

FRAGMENT 3

Z POEMATU „PIEŚŃ O BEZROBOCIU”

To niebo z trzaskiem pękło, jak lustro —
i parska na dół nożami szkła
i kulak-ziemię w słońce jak w usta,
w zsiniałe usta z wściekłością pcha.

To ryki syren smętne jak bab ryk
spadły na ranek — i ranek zgasił —
Z dymiących cygar czerwonych fabryk —
z kominów — w górę! — czerwienno as...

Jak bagnę w serce — dym czerwien prze-
żarł —
czerwień w sztandary krzepnie i w bunt —
Wzbiera i wzbiera rozpaczy ciężar —
urośnięty w miasto warczący tłum.

Już kroki moje marsz Wasz uwieźił —
chwieją się domy i place drżą —
trzeba już — trzeba w skoku się sprężyć,
ramieniem strzelić i krzyknąć krwią!...

ANDRZEJ WOLICA

FRAGMENT 9

Z POEMATU „PIEŚŃ O PRACY”

Miedzy niebem a ziemią na złamanej desce,
Mysz stukmistrze zwyczajni, my najprostszy
ludzie,
Budujemy cierpliwie betonową przestrzeń
Wielkich miast, dymnych fabryk, — kolo-
rowych złudzeń

Od fundamentów w ziemi, do dwudzie-
[dłtych pięter
Od chaty, gontem krytej, do domów — pa-
[łaców,
Każdy dzień jest radosnem budowania
[świętem.
Każdy dzień jest wykrzykiem tęgiej,
[żywej pracy.

Grają nam w blasku słońca połyskliwe
[kielnie,
Rozgracowane wapno pryska snopem
[kropli.
Jest siła wnaszej pracy, sprawiedliwy jest
[gniew.
Ze się twardy wysilek w brudny pot
[roztopił.

I staną świetne domy, świecące i butne,
Plon naszych zżartych nerwów i przepitych
[gardel.
Życie jest krwawym ściegiem na bezbarw-
[nem płótnie
Śmierć jest tylko antraktem, zapaleniem
[światel.

Przyjdą po nas następcy, by wziąć w
[dłonie młode
Z naszych dłoni wystygłych kielnie, z bar-
[fartuchy,
I wznieść milion domów w oko słońca
[zbladłe,
Rytmicznej, niecnej pracy, prakoniecznym
[ruchem.

oen Miller w artykule swym o poezji pracy. Na wzburzone gościńce współczesności wyruszył p. Miller ze szczerze z oczu przytwardzoną lunetą i wydaje mu się, że widzi przez nią dokładniej co się wokół nas dzieje. Sub uniwersalistyczną specie aeternitatis, „na tle kosmicznych celów koordynacji świata”, chce nam p. Miller zasypać oczu piaskiem swych pustych, gołostownych absolutów; w swym sybaryckim abstrakcjonizmie, hodowanym padliną teologicznej scholastyki, nie może p. Miller odczuć ciężaru i rozmachu lekceważonych wobec... kosmosu bieżących dni. P. Miller nie korzysta z własnych nauk, bo to my właśnie, którzy w namiętnym biegu współczesności do najbliższej mety zostawiliśmy teleskopy astronomom w obserwatoriach, mierzymy ustrój kapitalistyczny jedynie ważną miarą — miarą teraźniejszości, tzn. miarą historycznego wysiłku ludzkiego i nie kto inny, jak p. Miller pęta się ze swą kosmiczną lunetą serjo i pretensjonalnie w dziesiątych tysiącletniach — ach, jakże mgliste! — przyszłości...

Niemniej jednak ciekawe są drogi, po których pielgrzymuje p. Miller ku swej uniwersalnej kosmiczności. Oczarowany pasją swoich własnych słów, wydaje się sobie p. Miller strasznie daleko siężnym, gdy wszystkich nas razem uzna za „mierzwę, gnój i ścierwo, wdeptywane przez historię”, jak zwiędły łubin jesienią w bezpłodny spłacheł mazowieckich piaszków. Ten tak pysznie brzmiący, idealistyczny wigor p. Millera staje się jeszcze bardziej zastanawiający, gdy zestawimy go z pokrewnym poglądem patetycznego praktyka faszysty, Mussoliniego: „Ludzie są niczem, albowiem przemijają; tylko idee się liczą — one bowiem trwają.” Lecz ten napozór tak wszechogarniający idealistyczny pogląd okazuje się po chwili frazezem imperjalistycznego szefa sztabu, dla którego ludzkość jako zbiór jednostek przeznaczona jest na pastwę jego żarłoczych idei. Taksamo zapatrywał się na ludzkość „wyzwolicieł narodów” Napoleon, tak patrzyli na naród niemiecki Fryderyki i Wilhelm. Nie z wieku na wiek zmienne idee lecz człowiek jest wszystkim i dla niego wszystko się dzieje. Genialnością najszlachetniejszych swych synów ludzkość sama sobie tworzy i zmienia idee, służy im i umiera za nie, bo poprzez coraz dalsze idee od wieków pragnie się wyzwolić i w tej „nieustannej reintegracji duchowej służy ona zawsze sobie, gdyż temu, co sama stworzyła” (Brzozowski). Człowiek jako zjawisko dziejowe dąży zawsze do tego, aby być podmiotem zdarzeń, nigdy więc nie może pójść na ślepa służbę wzdętych absolutów.

P. Miller, gdy się wreszcie zasapie ową kosmogonią i na chwilę odejmię z oczu swój śmiesz-

ny teleskop potrafi jednak jakby od niechcenia dostrzec, że „niepodobna zaprzeczyć istnienia walki klas ani wagi dziejowej jej biegu.” Lecz ta dziejowa waga i doniosłość nie może przecieć p. Millera tak bardzo absorbować, on dostrzega to tylko na odczepne — bo „wobec globalnych i kosmicznych wysiłków człowieka, pracującego w perspektywie wieków” (podkr. moje) „...stoją zagadnienia dziejowe i kosmiczne nierównie poważniejsze (!) od krzywdy robotnika.” Chcemy wiedzieć, jak im właściwie na imię i co to za licho te kosmiczne zagadnienia, które by dla nas — ludzi — miały być ważniejsze od wstrząsającej ludzkiej krzywdy? Te właśnie tajemnicze zagadnienia kładą zapewne p. Millerowi pocieszyć się, że kapitalizm swoją rolę „tak czy owak”, ale jakoś spełnia i „w walce o pełny wytwór pracy i sprawiedliwy podział” doskonale p. Millera ustrzegają od absurdu. — Lecz zmyślnie myli się p. Miller, gdy absurdalnych bojowników o sprawiedliwy podział pracy posądza o uznawanie sabotażu pracy dla samego sabotażu. W świadomej walce proletariatu z kapitałem jest gremjalne porzucenie pracy w ostatecznej chwili, w przeddzień historycznych dni, nie „rozumowaniem bachora” — jak chce p. Miller — lecz jak głodówka sponiewieranych więźniów, która jest ich jedyną i bezwzględna bronią, jak zdecydowane odrzucenie karabinów na froncie przez „zdemoralizowane” wojska; — to przecieć i p. Millera powinno cieszyć, jeśli na rzecz „korporatywnego” „zniesienia klas”, czy też tylko „złagodzenia” antagonizmów klasowych nie chce po faszystowsku „wcielić proletariatu z prawem do narodu” (Mussolini). Proletariatu naród „wcielać” nie trzeba, on sam bowiem stanowi najpotężniejszy rdzeń narodu, wysysany zgół niesolidarystycznie przez „narodowe” warcholstwo. O stosunku klas w narodzie o wiele trafniej pisał przed wojną w „Popolo d'Italia” tenże Mussolini: „Chcemy socjalistów zmusić, aby byli socjalistami, zaś mieszczan, aby zostali mieszczanami; przeciwieństw między nimi nie chcemy zacierać, lecz chcemy je pogłębiać; ten antagonizm jest dobroczynny dla nas... A więc nie zaostrzać kątów, nie zacierać sprzeczności! Tylko w ogniu ścierających się przeciwieństw rodzą się wyższe formy społecznej równowagi”. — To ostatecznie jest najważniejsze. Dziś obłudny rekin kapitalizmu, w przecuciu niebezpieczeństwa, próbuje „układać się” z polującym nań wielkoludem proletariatu; zapewnia i przyrzeka grzecznie, że bynajmniej nie chce go w zupełności pokonać — wprost przeciwnie, chce go wielkodusznie udobroczyć częścią swoich łupów i obdarować przeciętnym dobrobytem. — Lecz choćby kiedyś faszyzm

terrorem i polityką sytości zaraził ducha robotników oportunizmem i psią uległością, co z ręki mordercy pana tłustej strawy wypatruje, choćby gnuśnym najemnikiem rozmaitych Fordów wiodło się możliwie najlepiej — nie miałyby to nigdy etycznego znaczenia. Chodzi bowiem nie o spaśny błogostan wołu po robocie, nie o niechlujną szlafarę dla harujących mas turbantów, ani też — jak znów chce p. Miller — o „możność do syfilitycznych uciech”, lecz o uznanie najwyższej godności ludzkiej, o możliwości wszechstronnego rozwoju dla każdej jednostki, o równe prawa do życia i szczęścia, zdobywane racjonalnie zorganizowanym i powszechnym wysiłkiem społecznym; — chodzi o najwyższą etykę ludzką i szerokie społeczne horyzonty.

Nie to nam jest ważne, aby łada nędzarz czuł się tak szczęśliwie jak ślimak w skorupie, lub tak ślepo i błogo, jak robak w serze — najwyższą i najszlachetniejszą wartość ma dla nas to, co chyba najtrafniej wyraził już kiedyś nieodżałowanej pamięci Brzozowski: „...Wierzę że przy ustroju niewolniczym były jednostki, najzupełniej do niego przystosowane i szczęśliwe; system pańszczyźniany miał swoich entuzjastycznych wielbicieli wśród włościan... Nie przystosowanie się jednak, lecz wrocie temu przystosowaniu wartości są dźwignią postępu i jego podstawą etyczną... Punktem wyjścia muszą być wartości, bez których urzeczywistnienia każde szczęście jest upadkiem moralnym...” W tem oto określa się dla ludzkości cel konkretny i na dziejową zakrojony miarę, lecz nigdy go nie zastąpią intelektualne, uniwersal-kosmiczne łgarstwa!

Falszywe apoteozowanie pracy nawet w najnikczemniejszej niewoli każe oczywiście p. Millerowi zachwycać się tem, że „na trupach tysięcy niewolników wzniesiono jednak piramidy, na trupach milionów robotników, z potu i krwi miliardów wzniesiono stupiętrowe miasta...” Takiego entuzjazmu ja jednak nie jestem w stanie podzielić. P. Millerowi chyba naprawdę wydaje się, że ludzkość szybciej posuwa się przez to naprzód, gdy zczecnie milion rabów, szcztutych kańczugiem, głodem lub mitralażem, aby swem ścierwem — jak lubią się czasem wyrażać „perspektywiści” — „użyźnić glebę pod siebie przyszłości...” Nigdy jednak niewolnicza praca nie stała się czynnikiem i motorem duchowego wzniesienia ludzkości — była ślepa ostoja zwyrodniałej tyranii, wznosiła ta praca pomniki faraonkiej pychy i ekonomicznej niewoli pracujących mas tuczy się dziś Babilon faryzejskiej cywilizacji — lecz tylko praca wyzwolona z burżuazyjnego wyzysku, praca wolna, lojalna i świadoma najwyższego celu zdola

stworzyć nam kiedyś piękniejsze formy społeczne-go współżycia. — Nieinaczej pojmują badawczy swój trud wielcy uczeni, odważni eksploatorzy forpoczą ludzkości najdalej w przyszłość wysunięta, którzy na placówkach swej najdostojniejszej pracy niejednokrotnie ofiarą śmierć ponoszą — na to właśnie, abyśmy „wobec pierwszej lepszej choroby” nie stali bezradnie, aby żelbetonowe piramidy przyszłości maszynowo z dnia na dzień wyrastały i aby morskie olbrzymy bezpiecznie przemierzać mogły ocean bez niewolniczego ujarzmiania kroci wioślarzy.

W zbyt skwapliwej, nieprzemyślanej apoteozie nie można mieszać najniższych objawów niewolniczej pracy z objawami najwyższymi, a opierając na słówku „jednak” aprobatę egipskiej metody budowania piramid, zalecać ją i bratać w znaczeniu ze społecznym wysiłkiem naszych czasów; ta ryczałtowość charakteryzuje też niekiedy tych „apologetów” pracy, którzy metody najmniejszego niewolnictwa radziby uświecić i utrwalić „ideą” solidarystycznego państwa. Lecz rozwój ekonomiczny ludzkości dąży niechybnie do wyzwolenia pracy z jarzma prywatnego kapitału i tylko praca wyzwolona, nastawiona nie na doraźny profit „przedsiębiorcy”, lecz na ostateczny właściwy swój cel, da nam prawdziwą władzę nad bytem i przypadkiem. Względna dzisiaj użyteczność pracy, która w ustroju kapitalistycznym zaspakaja zaledwie elementarne, animalne potrzeby robotnika, a bezrobotnym milionom pozwala głodować, w niczem usprawiedliwić nie może tego ustroju, który niemrawą kłoda leży na drodze do jutra. *Celem i przeznaczeniem pracy jest, aby poprzez coraz wyższe formy społeczne, poprzez coraz sprawniejszą organizację i techniczną wynalazczość zredukować się w końcu do ostatecznego minimum*, ludzkość bowiem utopijnie dąży do uniepotrzebienia zarobkowej pracy. — Dyktatura ducha, sprawowana przez inteligencję? Oczywiście! Rządy elity? Owszem! Lecz elity z człowiekiem pracy bezwzględnie solidarnej i wraz z nim czującej — bo nie kapitalista, lecz pracownik poniewierany jest i cierpi, a rację ma zawsze cierpiący.

Trzeba pracować i walczyć zwyczajnie, powszednio, bez fałszywych apoteoz o janusowym obliczu. Trzeba, aby praca przestała być poniewierką, wypogodzić ją, uprzyjemnić, — aby nastąpiło to, co też p. Miller w „Grenadzie” w myśl jewreinskiej „teatralizacji życia” nazywa teatralizacją pracy. Możliwe to jedynie przez wyzwolenie się pracownika, gdy praca będzie społecznie odczuwana jak powszednia, zdobywca modlitwa, przez którą się zbiorowy człowiek coraz doskonalej wyzwala i uszlachetnia.

MŁODA LITERATURA LITEWSKA

ODCZYT PROFESORA HERBACZEWSKIEGO

Skąpe, nazbyt skąpe wiadomości, jakie posiadamy o życiu literackim Litwy, wzbogaciły się nieco dzięki niedawnemu wykładowi prof. Józefa Albina Herbaczewskiego. Zaproszony przez nasz Penclub, przybył do Warszawy gość litewski celem zapoczątkowania bezpośrednich stosunków między artystami obu krajów i celem utworzenia drogi wzajemnego poznania się obu narodów. Jako pierwszy etap na tej drodze, wykład prof. Herbaczewskiego, mimo, iż był źle przygotowany przez kierowników Penclubu, spełnił swe zadanie.

Prelekcja rozpoczęła się oryginalnym wstępem, przekłuwającym figlarnymi wynurzeniami i poetyckimi dotknięciami spraw aktualnych. Przesuwając się zwinnie między żartem a powagą, zaprezentował prelegent sam siebie w potrójnej roli czarodzieja, dyplomaty i artysty. Słowa jego ilustrowała przedziwna głowa o twarzy kościastej i suchej, o ustach tajemniczo uśmiechniętych, o oczach małych a ostrych spojrzyniach, o bujnej, długiej czuprynie, a ręce, które poruszały się energicznie, żywo, młodzieńczo, towarzyszyły wiernie wyznaniu, że już jako mały chłopak obmyślał postępkę, któreby sprowokowały Boga do wykonania nowego cudu, do stworzenia w świecie czegoś dotąd nieznanego. Prowokował Boga do nowej twórczości.

Ten kult pierwiastka twórczego przebiegał przez cały wykład i niewątpliwie on to sprawił, że prelegent mógł mówić z takim obiektywizmem o literaturze swej ojczyzny, że w ocenie wartości literackich posługiwał się miarami ogólnoeuropejskimi i że, będąc najczulwiej usposobionym wobec swych kolegów, nie popełnił ani razu niesmacznej przesady.

Okresem przygotowawczym nazwał prelegent dotychczasową twórczość literacką Litwy. Niema jeszcze arcydzieł, niema dzieł wielkich, dla których można szukać sławy w Europie. Na razie odbywa się szukanie orientacji, usprawnianie języka i zapoczątkowywanie twórczości w różnych dziedzinach literatury.

Charakterystyczną właściwością literatury litewskiej jest jej partyjność. Każdy pisarz odczuwa ściśle przynależność do jakiejś partii, służy tej partii, ulega jej wskazaniom, pisze dla niej i czepie stąd utrzymanie. Wpływa to nieraz szkodli-

wie na produkcję pisarzy, feljton dziennikarski obniżył już lot niejednego poety.

Niebezpieczeństwo jest tem większe, że jedną z właściwości litewskiego języka literackiego była przez długi czas jego tożsamość z językiem dziennikarskim. Język dzieła literackiego nie różnił się prawie wcale od języka publicystyki, co osłabiało jego siłę jako narzędzia wyrażania człowieka. Pojęcie pracy nad urobieniem właściwego języka literackiego zawdzięcza Litwa młodej literaturze.

Młoda literatura litewska posiada wiele punktów stycznych ze „Zwrotnicą”, a nawet częściowo ulegała jej wpływowi. Już młody poeta litewski, Tysliawa, który zimą bawił w Warszawie, wspominał, że artykuły Peipera tłumaczone były na język litewski. Herbaczewski scharakteryzował rzecz wyraźniej i podał kilka nowych informacji. Dowiedzieliśmy się m. in., że Binkis, autor „Stu wiosen”, najwybitniejszy poeta młodego pokolenia „mógłby się najlepiej porozumieć” z Brunonem Jasińskim i Stanisławem Młodożeńcem.

Wiele nazwisk, wiele tytułów wymieniał prelegent, a z charakterystyk, któreimi je opatrywał, wynikała jeszcze jedna odrębność litewska: literaturę jej tworzyli przez długi czas przeważnie księża i klerycy. Dopiero ostatnio na miejsce tej literatury przyszła inna, tworzona przez nowoczesny typ ludzi i im to zawdzięcza literatura litewska świeży powiew.

Rolę własną w ruchu literackim Litwy określił prelegent jako rolę mistyka szukającego współczesnych środków wypowiedzenia się. Zdaniem Herbaczewskiego, czasy obecne nietylko nie wykluczają mistyki, lecz przeciwnie dają jej nowe podłoże, wykazują jej potrzebę i uzasadniają jej rację bytu. Jednakże, by wyrazić związek mistyki z życiem współczesnym, artysta mistyczny musi posługiwać się nową formą, to też Herbaczewski, poczuwając się do pokrewieństwa z Meyrinckiem, Hoffmanem i Poem, nie waha się w razie potrzeby sięgnąć po futurystyczne środki wyrazu, jak to poświadczy ostatnie jego misterjum teatralne.

Teatr kowieński stoi bardzo wysoko. Cierpi wprawdzie na brak rodzimych dzieł dramatycznych, ale zato ma znakomitych reżyserów, którzy, otrzymawszy wykształcenie przeważnie w Rosji,

WYWIAD Z JULJUSEM KADENEM BANDROWSKIM

W SPRAWIE IDEI SPOŁECZNEJ W POEZJI

Przedstawiciel naszej redakcji zwrócił się do autora „Rubikonu” i „Jenerała Barcza” p. Juljusza Kadena Bandrowskiego z prośbą o udzielenie

nam swoich cennych uwag w sprawie zagadnień społecznych w poezji, wysuwanych przez nasze pismo.

Redakcja „Głosu Literackiego” niniejszem uprzejmie przeprosza Szanownych Czytelników, lecz wywiadu powyższego zamieścić, pomimo najszczerzejszych chęci, nie mogła z powodu ogromnej ilości słów nieprzychylnych, któreimi nasz ceniony roz-

mówca określa kwestje zasadnicze. „Złagodzenie tekstu” byłoby jednocześnie sfałszowaniem zapatrywań Pana Redaktora Juljusza Kadena Bandrowskiego, czego, oczywiście przez wzgląd na powagę spraw omawianych, uczynić nie możemy.

wnieśli do kraju wysokie wartości teatru rosyjskiego. Teatr stanowi dla Litwinów szczyt aspiracji kulturalnych i każda premiera jest dla Kowna uroczystością, jak to bywało dawniej w Krakowie za czasów Przybyszewskiego i Wyspiańskiego.

W stosunku do literatury polskiej odbywa się obecnie wśród Litwinów ostre rozgraniczanie własności. Wszystko, co do literatury litewskiej dostało się z literatury polskiej niepostrzeżenie na skutek dawnych przedniepodległościowych stosunków między obu narodami, odgranicza się od tego, co czysto litewskie. „To moje, to twoje” — oto segregacja, której dokonywują obecnie Litwini. To odrębywanie się od tradycji polskiej jest tak gwałtowne, że nie uwzględnia nawet krwawienia własnych członków. Namietność segregacyjna dotknęła także postaci Mickiewicza. Podczas gdy dawniej Litwini mówili wiele o litewskości auto-

ra „Pana Tadeusza”, dzisiaj większość eliminuje go z ducha litewskiego i powoływanie się na jego litewskość uważa za szkodliwe. Ten ogólny prąd segregacyjny nie prowadzi jednak do braku zainteresowania dla literatury polskiej, jak o tem świadczy wspomniany wyżej stosunek młodej literatury litewskiej do twórczości „Zwrotnicy”, a co potwierdza jeszcze wymowniej fakt, że Wajczunas, autor śpiewanej przez całą Litwę pieśni żądającej Wilna, dokonywa przekładów z literatury polskiej.

Prelekcji Herbaczewskiego, naprzemian informatorskiej, wróżbiarskiej, poetyckiej, humoryzującej i utrzymanej w swobodnej polszczyźnie, słuchano przez dwie godziny z niesłabnącem zainteresowaniem.

A. Z.

NA NASZYCH POZYCJACH

Gdy po wielu latach krwawej i atramentowej walki znaleźliśmy się nagle w Polsce wolnej i niepodległej, poeci stanęli wobec zagadnienia: co robić? o czym pisać? Czy opiewać ponure mione dni, czy też niosąc drzewce biało-amarantowego sztandaru, wyć radosne pieśni o wolności.

Jedno i drugie szybko się jednak znudziło. Jak piszącym jak (zresztą jeszcze szybciej) uczącym. Wtedy biedni poeci skoczyli na huśtawkę słów i zaczęli wyracać koziołki: „Voilà! Hokus-pokus! Sylabizuję A. B. C.!

Tak się zdarzyło, że tu i owdzie przedarł się przez granicę wiatr od wschodu, bluznął tego lub owego z blaznujących rymiarzy, olśnił niepodzianością horyzontów, a że jednocześnie Polka przechodziła ciężki okres gmerania się z czwórków, że jednocześnie rodziły się na naszym gruncie i stawały się aktualne palące zagadnienia związane z czarnymi dłońmi „robotniczego koma” — proletariusza — ponieważ przeto odłączał się od gromady, nadśledziwał, poznawał, zaczynał rozumieć to, co dotąd u nas przytłoczono było kamieniem niewoli.

W niepodległościowym życiu Polski powstały dotąd znane u nas tylko w teorii, contrafronty: burżuazja, proletariat.

I wtedy z falangi, idących „na ugodę” i za smaczkiem rozpierzgowanych histeryczek poetów, zaczęły wyrąbywać się jednostki, które mając wszelkie możliwości szybkiego wypłynięcia na powierzchnię z laurkiem na seraficznej głowce, pluły na poklask i uznanie, poezję swoją przekuwając na miecz, który drogę ma wyrąbać idei, dla której służy.

Tak powstało w Polsce zagadnienie „idei społecznej w poezji”. Dziś termin ten jest już uznany. Wtedy były to jeszcze tylko poszczególnie tomiki wierszy, tomiki, które nie docierały najczęściej do tych, dla kogo były przeznaczone.

W pewnej chwili można było zupełnie wyraźnie widzieć dwie linie: poezję narodową i poezję proletariacką. Nieliczni narodowcy naiwnie i prawie samotnie podśpiewywali godzinki o Bogu i Ojczyźnie.

Z proletariatem walczącym o swoje prawa szli poeci obok nie tylko śpiewając, ale wpręgnięci do twardej pracy organizacyjnej i oświatowej.

Czy byli i czy są rozumiani? Czy byli i czy są potrzebni? O to właśnie ostatnio stoczył się bój na łamach kilku pism literackich — to zagadnienie będzie też tematem naszego artykułu.

Nie będę tu wspominał o jętkach poezji naszej w rodzaju przeróżnych Pawlikowskich i estetyzujących a jednodniowych Lechoniach i Iwaskiewiczach, chodzi mi głównie o tych, którzy istotne wartości wnieśli do poezji. O tych, którzy przez utwory swoje stali się potrzebni społeczeństwu.

Dlaczego przekreślam twórczość inną — a wspominam i podnoszę dzieła o wartości społecznej i co to właściwie jest wartość społeczna utworu? — Gdyby Mickiewicz napisał kilka tak doskonałych formalnie cyklów jak „Sonety Krymskie”, byłby jednym z tych poetów, których dziesiątki wymienia historia literatury i od których zatręśnienie jest w skryptach panów profesorów uniwersyteckich. Imię Mickiewicza podniesiono do pomnikowego słowa: wieszcz. Za „Dziady”, za „Pana Tadeusza”. Dzieła te były potrzebne. Dzieła te spełniały i spełniły swoje zadanie. Dzieła te podtrzymywały i podtrzymają ducha polskości w chwilach, gdy każda myśl o wolności przypłacała się szubienicą lub zesłaniem. Mickiewiczów wśród nas nie ma, a gdyby

nawet byli spotkaliby się z kamieniami gromów podtatuśkiej publiczności.

Dziś każdy świadomy swych zadań poeta zdecydowanie stoi na warcie swoich przekonań. Jest gotów walczyć o nie — nie jako generał, lecz jako szeregowiec.

Nie może być mowy o jednolitym froncie po prawej czy lewej stronie barykady. Jeżeli można mówić o istnieniu możliwości skonfrontowania sił na terenie poezji, — będzie to walka właśnie o idee społeczne, a nie wartości formalne, czy duchowe. Każdy z twórców, który nie weźmie udziału w tym boju, siłą inercji zostanie wyrzucony poza nawias zainteresowań.

Poezja stanie się, bo stać się musi, trybuną, z której poeci będą przemawiać. Broń ich silniejsza jest od najsilniejszych argumentów — zmierzają bowiem do opanowania uczucia, nie rozum. W walce tej zwycięży ten, kto lepiej opanuje formę wypowiadania się, zwycięży ten, kto do walki przyjdzie z silniejszym słowem — z poezją, która iskry potrafi z tłumy wykrzesać i dmuchnąć ją na dynamit przeciwnika.

— Na jaki dynamit? — pyta inspirator, „szlachetnego nieporozumienia” p. Hulka-Laskowski — gdzie wy widzicie dynamit? Gdy porównamy mieszkanie dzisiejszego robotnika z mieszkaniem pokolenia pierwszego, widzimy, że robotnik nie tylko nie myśli się proletaryzować, w myśl teorii, ale przeciwnie, robi co może, aby się od proletaryzacji uchronić, uciec od niej...)

Pan H.-Laskowski wyobraża sobie proletariusza jako indywiduum, które powinno na widok telefonu, zęgnąć się krzyżem świętym, a o elektryczności mieć takie pojęcie jak murzyn z plemienia Kai-Kai o biegunie północnym.

O, dystansie między jaskinią człowieka pierwotnego a gabinetem Rockefellera!!!

Dalej p. Hulka-Laskowski komentuje — pan Hulka-Laskowski nie wierzy. Jakto?:

„Tęgo olbrzyma (proletariat) trzeba obudzić i poprowadzić do boju. Takiego wielkiego zadania podejmuje się poezja proletariacka nie zdając sobie sprawy, jak dalece przecenia siłę i znaczenie słowa i jak niewspółmierne są zamierzenia i środki tego dzieła. Poeci proletariacki zamało znają proletariata i dlatego przemawiają do niego językiem zgłola niezrozumiałym”.

Nigdy nie zapomnę jednej chwili. Kiedyś — miałem możność mówić o współczesnej poezji wobec liczniejszego audytorium robotniczego. Jaka cisza była, panowie, gdy skończyłem recytować modlitwę Jeffrysa z „Wieży Babel”! Jestem głęboko przekonany, że dziewięćdziesiąt procent słuchaczy nie rozumiało istotnego znaczenia imion i nazwisk, zamieszczonych w tym fragmencie. Lecz ja zrozumiałem wtedy bardzo wyraźnie czem jest i czem może być poezja.

I cóż z tego, że większość dyskutantów na temat „poezji proletariackiej”, orzekła, iż dzisiejsza poezja proletariacka jest „o robotnikach nie dla robotników”; i cóż z tego, że Antoni Słonimski w wywiadzie, udzielonym „Robotnikowi” powiada: „zadaniem poetów proletariackich jest jedynie i tylko zainteresowanie inteligencji walką klas robotniczych i pozyskanie ich dla tej walki” (cytuje z pamięci), a p. Stern powtarza to jako swoją rewelację w „Wiadomościach Literackich” z dn. 29.VII r. b., co znów nie przeszkadza mu czynić zarzuty p. Wygodzkiemu, iż zaczerpnął materiału z jego artykułu p. t.: „Czyżby upadek poezji?”.

Dyskusja była potrzebna bez względu na to, jakie rezultaty mogła przynieść. Idee należy tak

*) Wiadomości Literackie Nr. 1 (209) „Poezja szlachetnego nieporozumienia”.

reklamować, jak reklamuje się czekoladę „Sarotti” i krem „Elida”. Ale obok wszelkich dyskusyj, obok walki teoretycznej, obok szermierki słów. powiedzeń — niekiedy bardzo „oczytanych” i ba! paradoksalnych — idzie życie spokojne na powierzchni, burzliwe wewnątrz: — pomimo papierowych sprzeczności panów Hulka - Laskowskich — robotnicy czytają Broniewskiego.

Jeżeli pan Laskowski istotnie przeglądał kasety dziewcząt fabrycznych, to obok starych piosenek o Wandzie, Ostapie i Jarynie, musiał znaleźć też wiersze Broniewskiego (częstokroć wypaczone i poprzekręcane) — musiał je znaleźć, bo ja znajdowałem je bardzo często.

Niejednokrotnie spotkałem „Dym nad miastem” tam, gdzie nie można było dowiedzieć się o Mickiewiczu nie ponad to, iż „to ten poeta, co stoi na Krakowie”.

I cóż — powtarzam — pomoże tu najrzeczniejszy chwyt retoryczny, kładący przeciwnika na obydwie łopatki? Każdy dziewięciosłaltowy bohater stanie bezsilny, gdy przyjdzie mu się zetknąć ze skromnym tylko fakcikiem, z rzeczywistością, notabene — tej, której, prawdę mówiąc, nie zna.

I kiedy w dyskusji ten i ów został drażniony, znajdujemy w „Wiadomościach Literackich” z dn. 12/II-1928 artykuł Antoniego Słonimskiego.

„Zapytuję p. Broniewskiego, jakie stanowisko na barykadzie zajmuje Oborin, Szymanowski, Boudelaire, czy Conrad i czy to jest dla nas ważne jakich byli i są przekonania polityczne?”

Nie byłoby dla nas dziwne, gdyby zdanie takie wygłosił no — np. Iwaskiewicz, którego bezpłciowość ideowa znana jest powszechnie. Nabyt wierzę w możliwości artystyczne Słonimskiego, abym mógł posadzić go o nieuczciwość — myślę, że powyższy sąd jest tylko wypadkową chronicznej u Słonimskiego choroby podejścia do tematu „z tej trzeciej strony”, t. j. operowania argumentami, na które jedyną racjonalną odpowiedź jest dowieść.

Czyżby p. Słonimski nie spostrzegał dystansu, który dzieli jego śmieszne wierszyki, gdzie „bez pachnie jak bez”, od poematu „Oko w oko” i czy dziś, skoro p. Słonimski wyrwał się z obrębów beznadziejnego wałęsania się po nastrojkach, nie uświadamia sobie, że to przecie nie przyszło przypadkowo, że pokolenie artystyczne dnia dzisiejszego w całej Europie staje zdecydowanie właśnie po jednej ze stron barykady (przypominam o ankiecie, którą zebrał: Roger Gironiet, Robert de Saint-Jean — „La Jeunesse Littéraire devant la politique” — Paris 1928) i nie jest „wszystko jedno” jak się na te czy inne zagadnienia społeczne zapatruje p. p. François Mauriac, Drieu La Rochelle czy Jean Cocteau.

Chodźmy dalej, Pan Słomiński pisze:

„Mimo bowiem zapewnienia autorów „Trzech Salw”, że piszą dla robotnika... wiersze ich czytają młodzież inteligentna i burżuazyjna, co jest wyrazem równie zrozumiałych tęsknot, jak marzenie robotników o księżących salonach i przyjęciach u Bogomolowa”.

Szanowny Autorze! — Czy przeświadczenie o tem, że będzie się czytany przez młodzież inteligentną i burżuazyjną podyktowało panu piękne pełne szlachetnego patosu strofy „Wieży Babel”?

Może się pan do tego publicznie nie przyznawać — wiem: to ciężko — ale czy to zmniejsza kółko czytelników naprawdę panu wystarcza?

Świat pełen jest anarchji. Tak. Racja. Ale i w anarchji wiele jest szczeroci, a z tem się Pan zgodzić nie chce czy nie może.

„Trzeba ścieśnić pojęcie ogólnoludzkie, powiada pan Wygodzki”) bo niema zagadnień ogólnoludzkich tam gdzie nie zniesiono frontów zewnętrznych i wewnętrznych...”

Niekiedy dla pięknie brzmiącego zdania jesteśmy gotowi zrezygnować z zasadniczego przemyślenia sprawy omawianej. Tak stało się i tu. Pan Wygodzki usiłuje wywagać drzwi, których wcale niema.

Są zagadnienia, jest przecie „krzywdą społeczną”, których nie można udekorować flagami tego, czy innego narodu.

Spróbujmy, naprzykład, pomalować lokomotywę na kolory polskie, niemieckie, czy francuskie (pomińmy śmieszność tego) czy przez to jej charakter stanie się bardziej nacjonalny? Faktura pracy włożonej w żelazo nie znosi umiejscowienia i granic, a pieśń młotów we wszystkich kuźniach całego świata przemawia jednym dla każdego zrozumiałym językiem.

Fronty zewnętrzne i wewnętrzne jeżeli istnieją, to tylko w nas samych i te przedewszystkiem należałoby przełamać, aby zbliżyć się do siebie.

I powtarzam: dziś już w imię przełamania tych „frontów” toczy się walka. Szkoda, że p. Wygodzki spogląda na poezję tylko lewym okiem, możnaby, a nawet należy wiedzieć o tem coś więcej.

Spróbujmy rozwinąć front:

Od lewej ku prawej — Stande, Wandurski, Broniewski, Jasiński, Słonimski, Braun, Wilin, Tuwim, Rostworowski, Zegadłowicz, Or-Ot i coraz niższa linja: Miłaszewski, i różne Birkenmajery i Kończyce.

Stwierdam: — pozycje są obsadzone gęściej po lewej stronie i coraz rzadziej ku prawej.

Taktyka bojowników prawego skrzydła oparta na podle wyzyskiwanej etyce Chrystusa, polegająca na straszaniu krnąbrnych ogniem piekielnym, coraz bardziej bierze w łeb. Z czem pozostają? Z modlitewnym słowem „Ojczyzna”, które dla ogromnej większości mas pracujących jest martwe. Wszystko jedno — możemy się z tem zgodzić, albo w imię patriotyzmu gorąco temu zaprzeczyć — musimy jednak w tym wypadku usprawiedliwić podobny stan rzeczy. Ludzie proletariatu za duży szmat życia mają wyrwany na walkę o chleb powszedni, aby mogli nie hołdować maxime „ibi patria, ubi bene”.

Czy poezja proletariacka, fałsz poezja pracy, jest potrzebna? — Najmocniejszym argumentem, najwłaściwszą, najracjonalniejszą odpowiedzią, niechaj będzie sam fakt jej istnienia. Więcej: — rosnące szeregi poetów proletariatu. Nie tych, którzy w rękawiczkach do proletariatu raczą podejść w takich czy owakich zamiarach, ale tych, którzy od dziecka gryzli czarną rozpacz dusznych, ciemnych i wilgotnych suteryn, tych, którzy wiedzą, że to nie legenda i nie śpiewka te dni, kiedy do pyska niema co włożyć, a sklepikarka już na kredyt nie daje.

Niech sobie różni panowie „kruszą kopie” (A. Stern), niech sobie J. N. Miller po judaszkowsku umywa ręczki i deklamuje „...wobec globowych i kosmicznych wysiłków człowieka...”

Ważnem jest to, co każdy z nas przyniesie do życia i temi drogami pójdzie szluka, na które wspólnymi siłami pchną ją ramiona ludzi tworzących.

Uwaga! Pozycje są obsadzone!

A krytyka? Krytyka, panie Stern, zawsze pozostanie li tylko w roli zegarka, na który można w każdej chwili spojrzeć, aby się dowiedzieć „czyja dziś godzina”.

Aleks. Maliszewski.

*) Wiadom. Liter. Nr. 29 „O zmianę frontu”.

POEZJA KULTU PRACY

Wiersze Mieczysława Brauna należałoby nazwać „poetą kultu pracy”. Już sam tytuł omawianej książki*) jest charakterystyczny dla psychiki poety, opiewającego w artystycznej formie cierpiętlwy, twórczy trud, wyniesiony na piedestał idei.

Spotkawszy się w naszej epoce z bezwładem duchowym, z niebezpieczeństwem doznania dosytu, Braun uznał, że najcenniejszą rzeczą w życiu jest praca, dla której pochwały służy jego muza. Pracą bowiem jedynie będzie się można przeciwstawić owemu niebezpieczeństwu, które sprowadza za sobą rozkład ducha i każe panować nad niekrepowaniami namiętnościami, rozprzeczającymi energię.

W jednym ze swych wierszy autor woła: „Reporterze, szukający wcielonęj zmory, pragnący wstrząsu, który potrafi przerazić... patrzaj, sensacja czai się przy tobie... Patrzaj, budują dom, gro-

*) Mieczysław Braun — Przemysły. — Nakład księgarni F. Hoesicka. — Warszawa, 1928.

madzą cegły, codziennie rośnie piętro, żarliwa robota wre — dzieje się powszechne święto!”

Takie jest podłoże ideowe utworów Brauna, których wspólnym tonem jest „pragnienie, by książka jego siłą do walki przyniosła”.

Są jednak w „Przemysłach” i wiersze, odbiegające od tego zasadniczego tonu; mianowicie należałoby tu wspomnieć przedewszystkiem o tych utworach, których pierwiastkiem jest miłość. Jest ona dla autora „jedyną mistrzynią” i rozbrzmiewa tu silnym akordem. Wiersze te świadczą o tem, że Braun nie zasklepia się w obrębie jednego podwórka.

A teraz parę słów o stronie formalnej „Przemysłów”.

Należy tu przedewszystkiem podkreślić zalety stylu, a więc jednolitą budowę słowa obok prostoty, a niekiedy i siły, z jakimimi przejawiają się nastroje i uczucia autora. Uderza nas konkretność artystycznego wykonania i jasność faktury. I jakkolwiek spotykamy tu zdania, które są raczej przemysłane, niż przeżyte, to jednak posiadają one umiar słowa. Krótko mówiąc, należy

przyznać, że wiersze Brauna cechuje — że tak powiem — skończoność poetycka.

Z drugiej strony jednak ta właśnie skończoność, to mistrzostwo słowa — niepokoi. Autor, chwalać głęboko ukochaną pracę i sumienne rzemiosło, czasami niepostrzeżenie dla samego siebie czyni to w sposób rzemieślniczy. Sens treści uczuciowej uchwycony tu jest za puls i ilość uderzeń zbyt dokładnie odmierzona. A to dzięki temu, zapewne że praca twórcza nie jest w pojęciu Brauna jedynie dziełem intuicji, ale i zdolności zupełnie rozumowych.

Pozatem transportując niejako niewątpliwie walory Mickiewicza, Słowackiego, Koźmiana, a nawet Tuwima, nie może się niekiedy poeta ustrzec przed ich eksploatacją.

Lecz na szczęście przeważają wiersze, które obok wartości budowy i kondensacji uczucia, cechuje oryginalność. I pomimo tego, że niekiedy powtarzane są te same terminy, oraz opiewane są treści, których zasadniczy pierwiastek jest ten sam — nie odczuwamy monotonii.

Reasumując powyższe, należy stwierdzić, że utwory zawarte w „Przemysłach” posiadają niewątpliwą wartość poetycką i swoisty wyraz, co zawdzięczają z jednej strony umiejętności zachowania równowagi między tematem a słowem, a z drugiej — tendencji kierującej je na drogę czynu i mocy duchowej.

Marjan Kraśnicki.

W DNIU 1 B. M. NA
IGRZYSKACH
OLIMPIJSKICH
W AMSTERDAMIE

**KAZIMIERZ
WIERZYŃSKI**

OTRZYMAŁ
**I-SZĄ
NAGRODĘ**
ZA TOM POEZJI
„LAUR OLIMPIJSKI”

NA MARGINESIE GORSZĄCEJ KŁÓTNI

Bodaj to być sobie najspokojniejszym zjadaczem chleba powszedniego. Człowiek żyje sobie jak Bóg zdarzy, dorabia się powoli, ale uczciwie, sprawiedliwie sypia, jada, a kiedy umrze, to niki mu już napewno spokoju nie zmaci. Jedyne może zbyt natarczywie modlitwy, pozostałej w nieutulonym żalu rodziny. Niema do takiego pretensji „społeczeństwo”, nikt nie wyciera sobie gęby jego nazwiskiem niby brudnym gałganem. Jeżeli ktoś zrobi na śmierci jego dobry interes, to jedynie uczciwy spadkobierca, tudzież „Kurjerek” za nekrolog i przedsiębiorstwo pogrzebowe.

Inaczej ma się rzecz z człowiekiem, który wzrósł niby wielkolud wysoko ponad miarę przeciętności. Do takiego ma zaraz pretensję społeczeństwo. To nic, że za życia stało się możliwe najbliższej jasnych oczu sięgnąć plugawą śliną. To nic, że nie było paszkwilu, dość brudnych słów, by człowieka takiego zohydzić. „Ciało wielkiego człowieka po śmierci jest tylko własnością narodu” (Kurjer Poran.).

Z tego tytułu wychodząc organizuje się, zgół nieproszony „Komitety opieki nad nieletnią córką wielkiego człowieka”, nad córką, która ma przecież żyjącą matkę i garść przyjaciół zmarłego, mogących starczyć za najlepszy komitet. Komitety takie prócz grubego reklamowania się i wzruszających naiwnością szopek, wynajdują coraz to nowe imprezy, by pod płaszczykiem nazwiska zmarłego kto wie czy nie własną korzyść przemycić. Dużo, dużo racji ma pani M. J. Wielopolska, a jej konkluzja powinna zapalić płomieniem wstydu czoła wszystkich uczciwych ludzi w Polsce. Boć bądź co bądź, nazwisko wielkiego człowieka, to nie bezkaśka śledzi, ani nawet wykintny kurort nałęczowski,

by handryczyć niemi, jeżeli już nie dla własnych korzyści, to przynajmniej w imię źle pojętych obowiązków społecznych.

Usiłowanie zignorowania woli zmarłego Stefana Żeromskiego i woli jego Żony i Córk, przez częstkę „społeczeństwa nałęczowskiego” powinno znaleźć odzew w jaknajsurowszym potępieniu wyrażonem przez opinię publiczną.

Jeżeli rzeczywiście ciała wielkich ludzi są własnością społeczeństwa, to prawo do ciała Żeromskiego miałaby cała Polska, a nie jedynie nałęczowskie komitety. Jeżeli Panowie aż tak koniecznie chcieli mieć u siebie to ciało, to należałoby przedewszystkiem zwrócić się nie do pana ministra Składkowskiego, a do osoby, która stała najbliższą zmarłego, do wdowy po Stefanie, pani Anny Żeromskiej i bezwzględnie uszanować jej wolę. Panowie zwrócili się wtedy do córki i żony Żeromskiego, kiedy was „czynniki urzędowe”, poinformowały, że bez ich zgody „nic się nie da zrobić”. Otrzymałszy odpowiedź odmowną zamiast zamknąć i wycofać swój zupełnie nieaktualny i niepotrzebny projekt, Panowie rozpoczęli naganek w prasie, besztając imiona najbliższych członków rodziny Żeromskiego, tak samo, jak kiedyś to wasze uprawnione do wszystkiego społeczeństwo, besztalo to najświętsze i najczystsze w Polsce nazwisko.

Nadawanie sobie mandataów, przy pomocy naiwnych „sejmików ludowych”, mandatów, które się bardzo wyraźnie zresztą nadużywa, działając wbrew woli wdowy i córki po zmarłym, koliduje nie tylko z dobrym smakiem, ale nawet z prymitywnym poczuciem uczciwości wobec poruszanej sprawy.

ŚLADEM ENTUZJAZMU

Gorący jest i żywiołowy entuzjazm Rogowicza. Głos budzący się, gwałtownej potrzeby rewizji, jaki przemawia przez niego w kierunku awistycznych doktryn, wylegujących się w zakamarkach uswieconego prestige'u i nienajświętszych emerytowanych ideałów — jest głosem trzeźwej i rozumnej konieczności.

Rogowicz nie jest filozofem ex nomine swej pozycji dramatycznej w literaturze. Jego twórczość nawskroś rodzajowa, zdążyła po linii odgrzebywania surowych podstaw rozkołysanych wielkich „prawd” nad powierzchnią (Derwisze i Dandyści), a w pracy tej towarzyszy mu jedynie dostojny i miarowy Dickens, z uśmiechem pobłażliwego na wszystko apostoła. Jasno i bez nudnych, arytmetycznych łamigłówek dosięga Rogowicz swego celu. Jest cechą zresztą znamieną, że w orce swych bojowych wypadów Rogowicz nie dysponuje właściwie żadnym materiałem agresywnym. Trafiając w sedno, ośmieszając powagę kultu, czyni to w najczystszej i dlatego właśnie stokroć może groźniejszej dla „pacjenta” intencji. Zwyczajnie i prosto — ograbia go z szat sofistyk i okręca dookoła obnażonej rzeczywistości („Sewrska waza”). Perwersja ta, aczkolwiek zgruntu nieetyczna i powiedziałbym niesalonowa, jest pozażem nieszkodliwa nawet dla najczystszych wrogów purytanizmu. Wypowiada się bowiem w jedynej godnej roli satrapowego miecznika, jakiego — niestety — na parnacie społecznym dawno już nie oglądaliśmy. Ale ta skłonność „wybijania szymb” w zamkach na błękitnym przegwieździu bez realnego i odstraszającego pobrzęku szkliska — jakim jest brak sentencji po zniszczeniu wrogiej

dla siebie supremacji („Historje o mistycyzmie”) — niespodziewanie i, trzeba dodać, ogromnie wdzięcznie i nie wywołuje potrzeby zaistnienia jakiejś nowej rzeczy, jak czyni to częstokroć n.p. Arystofanes. Z konieczności wysokiego dostojństwa rozwiązywanych przez siebie zagadnień — Rogowicz poprzestaje na wyeliminowaniu powagi z rzeczy nikłej i immanentnie bezspornie błahiej, est to, oczywiście, paradoks na marginesie elementarnej przyzwoitości. Ale na tem tylko i nie na czem innem polega właśnie cała sztuka dosiadywania bułana; sztuka odmienna od przejażdżki na włosistym eunuchu, czy pstrokatym pegazie. Tendencja wysokiego panteizmu, jaka bulgoce w tych kilku nowelach i te dalekie, zasłyszane odgłosy („Wieża w Locmariaquer”) — to wszystko tak podobne i nieodłączne od życia, że chyba sam tytuł szacowny najspokojniej w świecie może pokłócić się z zawartością swego skarba.

Powróćmy teraz na chwilę do liryki Rogowicza.

Dramaturgia współczesna osnuta na tle najwyraźniejszej mistyki (poza małymi wyjątkami) nie uderza tak zdecydowanie w serce konkretnego ogniska ludzkiej tragedii, jakim jest rozdział pomiędzy walką a jej duchową przyczyną, ukrytą w epilogu wydarzenia. Zdążyła ona przygórą symboliczną parabolą omówić, podejmując fakty przyłapanie w flagranti, mdle, suche i bez kości, nie zawsze zresztą uzgodnione z prawami realizmu, który przecież sam w sobie posiada dostateczną zdolność do rozprawienia się z satanem bezdusznego życia. Zawistość ta, z konieczności wytworzenia jakiejś nowej, pocieszającej hipotezy, ocie-

Wśród znacznej części krytyków literackich, panuje osobliwy pogląd. Panowie Ci uważają, że ukazanie się książki słabej, lub wręcz szkodliwej, dla literatury należy przemilczeć. W ten sposób unika się równocześnie zrażania sobie osobistości, niejednokrotnie wpływowych i, balansując umiejętnie zyskuje miano poważnego krytyka.

Fakt jednak, że ukazują się książki wręcz okropne, pozostaje faktem.*) Nie przekreśla go bynajmniej milczenie krytyki „poważnej”, na dowód czego mamy rozpanoszone ostatnio w Polsce, snobistyczny kult pisywania wierszy. Nie jest to bynajmniej wywołane wewnętrzną koniecznością, żarliwą potrzebą, tak zwany „musem twórczym”. Bądźmy szczerzy. Panuje ostatnio w Polsce moda pisanie wierszy. Różni gładcy młodzieńcy i omalewające dziewczęta, chcący wydać się, wzajem bardzo interesujący, piszą. Poco, na co, dla kogo? Nie pytaj.

Jeżeli zapytasz, jesteś gburem, człowiekiem płytkim, nieinteligentnym i niekulturalnym.

Że piszą, to nic. Bo ostatecznie jeśli sprawia im to przyjemność, jak komuś kto hoduje kanarki, jak komuś kto zbiera pudełka od papierosów, można więc i wiersze...

Ale ludzie Ci, mający zbyteczne pieniądze, a nie wiedząc, co z nimi robić, wydają tomy. Tomy, na których kładą podpis, poważne zasłużone zakłady wydawnicze, mogące się pochłubić współpracą najpoważniejszych w Polsce ludzi.

Tutaj trzeba już koniecznie zawołać hola. I to nie kto inny, a właśnie owa poważna krytyka, krytyka, mająca siwe brody i umiejacą dławić w zarędku porywy prawdziwego talentu. Czemu panowie milczą? Czy stosunki towarzyskie zażyły w was resztkę obiektywnej uczciwości?

Przecież dla każdego jest zrozumiałe, jak wielką szkodę przynoszą te tomy sztuce i rozwojowi kultury polskiej.

Zastanówmy się przez chwilę nad pytaniem: Dlaczego w Polsce *nikt* nie chce czytać poezji. Dlaczego w 30 milionowym Państwie 300 sprzedanych egzemplarzy jest szczytnym rekordem. Nie należy tutaj szukać miliona nieistotnych przyczyn, jak czyniono to ostatnio w czasie dyskusji „Literatura a społeczeństwo”. Przyczyna jest jasna i zupełnie zrozumiała.

Zdezorientowana publiczność, nie orjentując się zupełnie w prądach i nazwiskach literackich, kupuje tomy odstraszaające. Doprawdy, oparzywszy się kilka razy w ten sposób, można zniecierpliwienie literaturę, a w szczególności poezję.

Niemożliwym wydaje się stworzenie instytucji, mającej prawo orzekać, czy Pani X, lub Pan Z, może wydać tom.

Jesteśmy przecież państwem konstytucyjnym i t. d.

Wprawdzie wszelkie inne fache (boć przecież i literatura jest fachem), mają komisje zwiazkowe, przed którymi nowy czeladnik musi zdać egzamin ze znajomości rzemiosła, ale literatura?

nie przekonywa nas, że Rogowicz nie zapęda się i nie sili na same tylko zdobycze destrukcyjne w swym płomienistym entuzjazmie. Powiedziałbym raczej, że paradując sarkazmem, nie dyskutując błyskotliwym, gwiazdowym liryzmem, jako ostateczny swój i bezwolny przejaw, uzgadniający teorię z życiem. Jest to walka człowieka bez oczu, wyrzuconego poza nawias wysokich doświadczeń, czepia się o warunkową abstrakcję, by w niej nawzajem których w sposób beznadziejny i tchórliwy zastępnie majestatycznie, z przesadną pokorą abnegata zawiązać swój purpurowy węzełek gordyjski. Liryzm, opiewający tęsknotę, w tym nurcie swego niewłaściwego użycia, staje się czemś odrażającym bolesnym, wystawia świadectwo kompletnej bez-

Gdzie tam. Tutaj każdy proszony i nieproszony może swoje śmierzzące 3 grosze wetknąć. Każdy chce tu być panem. Nie potrzeba patentu z odbytego terminu.

Publiczność jest głupia i tak wszystko poćnie. Otóż publiczność przestała „być głupia”, stała się bardzo mądra. Przestała wogóle lykac. Przestała nietylko lykac, ale nawet patrzeć. Słyszac słowo „poezja”, zatyka uszy i ucieka wrzeszcząc: „Dajcie mi święty, spokój”.

Zbrukane, oplute tyloktrotnie w Polsce słowo poeta, wymienia się, wstydlawie, z rumieńcem, ze wzruszeniem ramion.

Ludzie, którzy tworzyli i tworzą Polskę, nie tą powierzchowną, ale wewnętrzną, istotną Polskę, chodzą obdarci nietylko z całych butów i przyzwoitego łachmana na grzbiecie, ale z tych wartości niezniszczalnych, które, zdawałoby się, przylgnęły do słowa literat nie w złym znaczeniu tego wyrazu.

W żadnym fachu niema tylu fuszerów, partaczy, tandeciarzy, co w literaturze. I dlatego też poważna krytyka powinna omawiać i bezlitośnie piętnować rzeczy szkodliwe i złe. Autor może się mylić, może być, czem chce, dadaistą, formistą, nadrealistą, mistykiem, filozofem, musi jednak sam odczuwać to, co mówi, zwłaszcza, jeśli chce przemawiać publicznie (boć przecież książka jest rodzajem publicznego przemówienia), musi wierzyć w wartość, wypowiedzianych przez siebie myśli. Po co pisać, nie czując, jeśli nas to nudzi, a robimy to dla głupiej mody małpowania czyjejs, wywołanej krwawą koniecznością pracy. Oryginalność taką jest już, niestety, w Polsce bardzo nieoryginalna.

Wiersze Pani Janiny Helm Pirgo (jeśli to są wiersze?) lub, powiedzmy, impresyjki, nie nowego nie wnoszące, a nie są nawet powtórzeniem tego, co było z dobrym skutkiem kiedyś napisane. Jaką wartość społeczną, uczuciową, racjonalną, czy ukrytą, mają te quasi kolorowe banalności? Konia z rzedem temu, kto ten „problem” rozwiąże. Autorka dodaje obowiązkowy, bogonarodowy dyg i zwraca nam głowę, nie wiedząc sama, czego chce, i do czego dąży.

Jakżeż można u licha pisać tak dziś. Kiedy życie tręci, tętni. Kiedy dla twórców otwarło się tysiące nowych horyzontów, kiedy otwarło się dla poezji tyle ciekawych problemów społecznych, życiowych, psychicznych. Ale Pani Janina Helm Pirgo *woli* pisywać „kolorowe sonaty” i dyskwalifikować słowo poezja w literaturze polskiej. Biedna!

Zalować należy, że tak bardzo zasłużona dla rozwoju myśli polskiej, firma wydawnicza (F. Hoesick), wydając tego rodzaju tomy, podkopuje zasłużone zaufanie czytelnictwa do jej wydawnictw. Anu.

*) Na marginesie książki Janiny Helm-Pirgo F. Hoesick, Warszawa 1928.

silności i niezaradności utrzymania w tonie wysokiej pozycji poczucia wartości człowieka. Rogowicz ocenia liryzm i wydobywa go w momentach trzeźwych i tętniących pełnym akordem życia. „Pustelnik z djamentowej wody” jest typowym wyrazem jego wyjątkowej kultury artystycznej podobnie jak „Fiasco Sodomy” przesłanicznym, w doborowym archaizmie utrzymanym, wielkim szczegółem jego twórczości.

Iryon.

*) Wacław Rogowicz. „Historje do niczego niepodobne”. Nakładem Druk. „Rola” Jana Buriana. Skład Główny: Dom Książki Polskiej. Warszawa 1928.

MARJAN MARKOWSKI

RALF

Dudnią auta. Monotonnie, głucho, wiecznie. Nieoczekiwanie wyskakują sygnały trąb i, ślizgając się po mokrej jezdni, rozplywają w nużącą wilgoć. Dzień niepostrzeżenie stoczył się po pochylonych dachach domów i — skończył. Tylko zimny, ośliży mrok, jak pies przyczał się we wnękach nieprzytulnych ścian i — czeka. Aż nagle zacznie lizać ulicę olbrzymią koswatą mordą.

(A chwile sączą się pocichutku, jak krople deszczu).

Tu i owdzie wystrzelają słońca matowych lamp. Tu i owdzie przylegają co chwila mokre kroki przechodnia do twardego betonu chodnika. Wyrasta jedna postać za drugą jak z automatycznego pudełka dziecinnej zabawki nagle, nieoczekiwanie i — ginie. A wśród tych mglistych, nieuchwytnych postaci rysują się czarna sylwetka Ralfa.

Drżą krople deszczu na drzewach drzemających duże, błyszczące i na tępych spojrzaniach Ralfa.

Nagle przebiegł tramwaj z przeciągłym stękiem i zagrzynał gwizdem bezmyślnych kół Ralf widzi jak boleśnie rażący zgrzyt poślizgnął się i upadł na mokrej jezdni. Biegnie więc czempredziej na miejsce wypadku i śmieje się, śmieje —

Policjant Nr. 1879 wymachuje paleczką równo, rytmicznie. Po jego płaszczu spływają krople deszczu i wijący się wąż matowych lamp.

Beznadziejne są buty policjanta Nr. 1879. Ale Ralf nie zdaje sobie dokładnie z tego sprawy i sennie powłoczy nogami. Idzie bezwładnie, niepewnymi krokami, zataczając się jak pijany. Corazto śpieszy jakiś spóźniony przechodzień i obójtnie znika za jego plecami. Corazto pędzące ślepie samochodu wdzierają mu się pod powieki i oblewają rażącym dreszczem.

A Ralf wciąż idzie — —

Bezwiednie zatrzymuje się nad brzegiem rzeki. Daleko, daleko za nim wystrzela w niebo łuna kamiennego potwora — miasta. Czarna noc rozsiała się tutaj i przeraźliwie rodzi ciszę. I w tej boleśnie przeraźliwej ciszy Ralf stara się przypomnieć sobie i ogarnia wzrokiem wszystko przeszłe. Po raz drugi jakby przeżywa własne życie. Aż do ostatniej chwili.

Więc przesuwa się przed jego oczami kolorowa wstęga faktów ważniejszych i faktów bez znaczenia. Ale wśród tej gamy przeżyć gorączkowo usiłuje wypatrzyć jednego wypadku: chwili kiedy wierzył. Czuje, jak wbija mu ktoś w móżdżek drobne szpilczki. Przypomina sobie za to, że wierzył, musiał zapłacić najwyższą ceną: ceną swego ja. I od tej chwili kiedy wierzył musiał płacić ciągle i zawsze. Aż nadszedł czas, kiedy nie może już nic dać z siebie, że wydał gdzieś siebie całkowicie i bez reszty. Pozostaje beznadziejna pustka — —

Świat przestał istnieć dla Ralfa. Wszystko to, co usiłują resztki jego przytępionych zmysłów skupić dookoła siebie jest raczej jakimś makabrycznym, dalekim snem. Poczul nagle, że jest jak niepotrzebna rzecz, wyrzucona na ogromny śmietnik życia. Czarne kłębowisko myśli jak dym czołga się w jego komórkach mózgowych, znieczulonych, na nie nie reagujących i sennie opada ołowiem na zmęczone powieki: jak niepotrzebna rzecz... jak niepotrzebna rzecz... Ralf podnosi każdą świecącą, jak kula, ognistą myśl, waży, rozbiiera, analizuje. Stara się skupić, pomyśleć logicznie choćby pierwsze zdanie i nagle załamuje się pod ciężarem słów, które wymykają się jego wyobraźni. Bezwiednie siada na zimnym, śliskim kamieniu, tuż nad wodą.

Ralf patrzy na wijące się czarne cielsko rzeki i myśli: jak niepotrzebna rzecz... jak niepotrzebna rzecz...

Nie zauważył nawet, jak brudny, wychudły pies czołga się ku niemu. Z opuszczonym ogonem wdół staje przed nim i wyje przeciągle: raz, drugi, trzeci, unosząc do góry głowę. Ralf wyjmując zeschnięty kawałek chleba i częstuje nim bezdomnego włóczęgę. Pies łapczywie zjada chleb i liże dobroczynne ręce. Ralf głaszcze go po brudnych, zapadniętych bokach i cieszy się, że nie jest sam. Ale wkrótce opuszcza go i pies-włóczęga, wieczny pesymista z ogonem wdół wiszącym, nie mając nadziei dostania jeszcze jednego kęsa.

Pozostaje znów samotny. A czarna, ruchoma wstęga szumi monotonnie, głucho u jego stóp niewyraźnym bulgotem opuszczenia.

I nagle bez żadnego związku przypomina sobie zdanie: „Kto raz znalazł sam siebie, nie może już nic stracić na tym świecie”. A w jego podświadomości ktoś dodaje: jak niepotrzebna rzecz... jak niepotrzebna rzecz...

Powoli wstaje bolesny świt i zagłada w mętne oczy Ralfa. (A chwile sączą się pocichutku, beznadziejnie, jak krople deszczu...).

BŁĘDNI RYCERZE EZOTERYZMU

Jeżeli ktoś z piszących lepsze, gorsze, lub takie sobie wierszyki nie wie, jak usadowić swoją szlachetną osobę, aby chociaż jakotako być widzianym, jeżeli przytem wrodzone eunuchowstwo nie pozwala temu nieszczęśliwcowi wtopić się rytmem krwi w rytm współczesności — pozostaje mu do wyboru: przestać pisać, lub z menuetem na ustach ogłosić swoim znajomym: — Dzisiejszość to blazenada. Ja Kocham księżyc i szmer strumyka. Szukam duszy!!!

Takiemu należałoby poradzić, żeby lepiej poszukał sobie posady — wątpię jednak czy ta naprawdę przyjacielska rada przypadłaby mu do smaku.

Plače się to, psiakrew, tałałajstwo, włazi wszędzie: — do redakcji, do kawiarni, ba! — do mieszkań prywatnych — zawsze obladowane rękopisami, zawsze z uśmiechem męczenników gotowe cię zadreczyć przeczytaniem „fragmentu” tragedji, w której „zamknięty jest ból wszechświata”.

Są to, oczywiście, najtragiczniejsi ludzie pod słońcem i najtragiczniejsze jest to, że wierzą, naprawdę wierzą w doskonałość swojej twórczości.

Wytrącenie poza nawias, rwącego naprzód życia, odepchnięcie, zagłuszenie, — nikomu niepotrzebni, nijak ustosunkowani do migających w kinematograficznym tempie dni i zagadnień — placzą się ci nieuznani geniusze w życiu literackim, wprowadzając dezorientację, tamując rozwój i tak na czworakach pełzającej sztuce naszej.

Nic to jeszcze, jeżeli los (czasem sprawiedliwy) stwarza im warunki takie, iż po za tem, aby żyć, nie mogą myśleć o czemś więcej. Ale je-

żeli trafi się bubas taki z pieniędzmi, wtedy dopiero się zaczyna. Ukazują się „pięknie” wydane tomy poezji „fascynujące” romanse, powstają filmy „narodowe” (dlatego tylko narodowe, że kretyństwo zawsze jest więcej poważane. Głupiemu ponoć rażniej na świecie — ma większe towarzysstwo) wogóle wszelkimi siłami umiejscawia się postępowo, aby się nacieszyć własną genialnością. („Aha, panie dobrodzieju, ja też potrafię!”).

Obowiązkami trzeba myślących ludzi, ludzi kultury, — tępić takie świństwo, bojkotować bezsilnie, rozdeptywać to robactwo wyległe z najpotworniejszego snobizmu — snobizmu „duszy” i „jaźni”. — Koniecznie i w obydwóch wypadkach „mojej”. Owe „duszości” i „jaźwienie” należy w prasie usuwać nie dyskretnym przemilczaniem, bo takie coś zawsze dotrze do rąk chociażby małej garstki czytelników, ale właśnie — rżnięciem — rżnięciem w gołą skórę.

Oto jeszcze jeden przykład zabiegowania się na śmierć, oto jeszcze jeden przykład zminkowania swojej gębki na Człowieka (duże C) — oto jeszcze jedno pisemko, podobno miesięcznik, krakowskiej grupy poetów „Ezoter” Nr. 1 (bodajże ostatni).

Ezoteryści występują z programem. Piszą: „Jedyną istotną rzeczywistością jest Słowo”. — Jak to rozumieć? Więc wszystko co leży poza słowami jest nierzeczywiste? Daję słowo honoru — nie nie rozumię. Dalej:

„...W użyteczności dnia codziennego zatracono Ono (słowo) swój blask, świetność, świetność Majestatu i Siłę”.

„W ściekach praktyczności zagubiło swe Piękno — stało się wyswiechtanym łachmanem królewskim, nad którym potrafią jeszcze lzy zachwytu wyciskać niedorozwinięte umysłowo pensjonarki”.

Czasby już skończyć, moi panowie, z temi wszystkimi „świetłanościami Majestatu” (a jednak przez duże M) z temi łachmanami królewskimi (nareszcie łachmanami!), z niezdrowym parnasizmem, z udawaniem kapłanów, z wywróconemi do góry gałami celebrujących msze jakoweś — mistyczne, diabli wiedzą jakie. Czas byłoby już wyć nareszcie tradycyjnie brudne ręce i uszy, wyrzucić zamaszty krawat i wejść właśnie w codziennność, stać się tej codzienności potrzebnym, nie bombłującym synkiem marnotrawnym.

Piszecie panowie, że chociaż „obniżono” poziom życia — „życie nic na tem nie zyskało! — nie stało się poezją! Ta ostatnia natomiast przez nieopatrność i niepotrzebne zgola aktualizowanie skrawków życia — upadła nisko! Rozłąła się w brudnej kałuży cuchnącego potu...”

„W ściekach praktyczności” w „użyteczności dnia codziennego” — poezja nie zatraciła swojej siły. Przeciwnie: — słowo zjednalo, stało się dojrzałym, soczystym owocem. Ale tego, oczywiście, nie można widzieć, jeżeli się czyta tylko własne wiersze i artykuły, o tem nie można się przekonać, gdy się stoi wysoko na piedestale Majestatu (duże M) i kiedy pot ludzki stężył z wysiłku, pot spływający z czoła pochylonych, uginających się pod brzemieniem pracy robotników nazywa się po panickowsku „cuchnąca kałuża”.

Życie nigdy nie było poezją i wygłaszanie sądów jakoby nią kiedy było, albo będzie, kwalifikuje wygłaszającego do... (postawić mu w dowódzie osobistym, w rubryce „wykształcenie” znak zapytania — bądźmy łagodni — to wystarczy).

„Przekreślamy wszelki utylityzm i kastowe społecznikostwo”.

Nie podoba się panom? — no — no! Utylityzm, społecznikostwo — możeby kto z szanownej redakcji zechciał mi odpowiedzieć, czemu jest jednostka, dla której te dwa wyrazy nadają się do wykreślenia i czy wobec tego nie należałoby przestać babrać się wierszami, jeżeli te wiersze mają być nikomu niepotrzebne?

Ezoteryczny program śpiewa: „Ociekające eliksirem życia Słowo — jest dla nas Czynem z krwi” — jakim-że ono jest czynem wobec powyższego?!

W czasie, gdy młode społeczeństwo literackie wywalcza wspólne jednolity front, gdy pochyłoniemi bagnietami słów wali się w gumowe piersi obojętności, z jaką odnosi się większość ludzi do poezji — jacyś panowie „idą na ugodę” i na piknie wyszywanych sztandarkach powiewają pochwałą babrania się we własnych jelitach.

„Pragniemy słowem przywrócić dawną siłę i istotne Znaczenie”. Szkoda mi miejsca, bo przytoczyłbym kilka wierszyków z „Ezoteru”, wierszy pełnych „szumiących mąk”, „nimf leśnych i strumieni” oraz „ust drżących czarem”. Artykuł wstępny kończy się słowami:

„Budujemy Poezję prawdziwą, świadomą swych wewnętrznych zadań, a pierwszą gołębicę Jej ewangelji puszczamy w świat — ezoteryczny estetyzm”.

Szkoda, że pępek Buddy nie jest ośrodkiem wszechświata! Wtedy puszczając do biur kolportażowych gołębicę ewangelji byłoby trudniej, niż na samolocie przelecieć Atlantyk.

Jak to powiedział Gałczyński w „Kurjerze Porannym” z dn. 27.V r. b.? — „Przyznam się bez wstydu do tytułu poety wtedy tylko, gdy w życiu społecznym Polski zajmę tak potrzebne miejsce, jak elektromonter i szofer”.

Paradoks, bo paradoks, ale w każdym paradoksie jest więcej prawdy, niż pozy.

Aleks. Maliszewski.

KADENCJA MEGALOMANSTWA

Są ludzie, którym się widzi, że koniec ich własnego, rodzeniutkiego nosa, jest końcem świata, że są filarami bytu narodowego, jakgdyby jakakolwiek społeczność mogła się oprzeć na filarach, o nie na codziennej, mrówczej pracy szarych milionów.

Ludzi tych łatwo poznać po wielkiej pewności siebie, po tupecie, z jakim formułują i głoszą swe sady, po tem wszystkim, co nazwiemy krótko manją wielkości.

Właściwie manję wielkości zaliczyć można do chorób psychicznych, ponieważ jednak panuje ona w świecie nagminnie, można więc było się do niej już jako tako przyzwyczaić.

Niektóre jednak, specjalnie złośliwe wybryki tej choroby, jeżeli nie niepokoją nas, to przynajmniej bawią. Twierdzimy, że megalomanię, zwłaszcza jedną jej specyficzną odmianę — megalomanię literacką — należy tępić, choćby dlatego, że często zachwascza ona rzetelne i godne poklasku talenty. Na dalszą metę staje się **niebezpieczną chorobą umysłową**.

Niebezpieczną nie tylko dla chorego — ale otaczających go. Jest bowiem zaraźliwa.

Nie będziemy w tym artykule mówić o megalomanach literackich **bez wartości**. Tacy nas nie obchodzą, jako ludzie nie mogący nic korzystnego dać literaturze. Będziemy mówić o tych, w których wartości i możliwości twórcze bezwzględnie wierzymy.

Plağa wielu dobrych literatów, jest ich słabość do wychowywania młodego pokolenia, wychowywania, oczywiście, według swoich, bezwzględnie najlepszych recept.

Jeżeli założymy, że najlepszy nawet literat, może mieć minimalne zdolności krytyczne. Jeżeli następnie dodamy do tego śmiałość osadu pracy innych, bezwzględna wiarę w siebie i trochę tyłko zarozumiałości, otrzymamy w sumie typ dzisiejszego literata, „kierownika dodatku literackiego” w jednym z poczytnych pism.

Nie chcę tu rzucić nazwisk. Nie chodzi przecież o osoby ani pomniejszenie niczyjego zasług, czy mniej zasłużonego imienia.

Chodzi o odpowiednie ustosunkowanie się do pracy młodych, jak to się mówi, „najmłodszych”. Chodzi o zrozumienie intencji, a przedewszystkiem o **rzeczowy stosunek krytyczny**.

Lapidarne uwagi p.p. Herlainów i im podobnych, można nazwać jedynie **świadomą nieuczciwością**, spełnianą bezmyślnie.

Rozumiemy doskonale, że młodzi powinni wywalczyć sobie własnym talentem uznanie społeczeństwa i stanowisko w literaturze. Nasuwa się pytanie. POCO bawić się w przewodnika młodych, w odkrywcę jednodniowych „sław”, w domorosłego wujka literatury?

Mecenasowstwo jest jedną z najbardziej niesympatycznych cech megalomanstwa naszej sztuki wogóle, a literatury w szczególności.

Zostawcie młodych samym sobie.

Jeżeli porywacie się na sady, kardynalnym waszym obowiązkiem jest poznać młodych i ich prace. W przeciwnym wypadku sady wasze będą nieuczciwe.

Nie mając danych, by „najmłodszych” potępić głośno, stosuje się metody stare i na własnej skórze dawno, lub mniej dawno, wypróbowane. Pomija się wszystko milczeniem. O niczem się nie wie, nie się nie słyszało — absolutnie nic.

Pozatem prace młodych wykorzystuje się w pewien „cudowny” sposób. Mówi się im mianowicie, że to wielki zaszczyt, iż są wogóle „drukowani”, że nie powinni myśleć o honorarjach i Bogu dziękować, że „wpuszcza” się ich na łamy porządnego dziennika (metody organu pana Stpi-czyńskiego).

Nie wyobrażam sobie wprowadzić zbyt do- kładnie, jakby miało wyglądać owo „dziękowanie Bogu”, ale zostawmy to inwencji owych panów redaktorów.

W ten sposób nie można oczywiście zgromadzić wokół siebie zastępu zdolnych pracowników. Łowi się więc różnego gatunku rybki z mętnej wody polskiego grafomanstwa. (Patrz: beznadziejne elaboraty wierszowane na każdą niedzielę w „Głosie Prawdy”).

System narzucania swojego widzimisię literackiego młodym rozwiłmożnił się już tam zastraszając. Osiemdziesiąt pięć procent odpowiedzi redakcji, to najłatwiejszy i najbardziej karygodny system podszczekiwania. Jest to tem smutniejszy objaw, że podszczekującym w tym wypadku będzie zdolny i zasłużony literat. Przyczepianie się do słów, niedbalstwo myślowe, lapidarność sądów i ich bezceremonjalna pewność siebie, to główne „zalety” tego pisma.

Trudno mówić dziś o wartościach i możliwościach „najmłodszych”. Musimy to bez względu na nasze chęci zostawić do osądu przyszłości. Dziwić jednak musi najbardziej obiektywnego widza, niechętnie odnoszenie się dojrzałych (któż w Polsce o tej dojrzałości właściwie decyduje?) literatów, do tego załazka, który mimo wszystko musi „ich” nieubłagana siłą konieczności dziejowej wcześniej, lub później zastąpić.

Litosierne pomiatanie wszystkimi, przekonanie, że samemu jest się „lepszym”, mierzenie innych na miarę własnego mniemnego wzrostu, to najsmutniejsze objawy zdziczenia i korsarstwa krytycznego, jakie opanowało ostatnimi czasy nasza literatura.

Zarzucanie młodym z jednej strony lizusowstwa (p. Wat — Wiadomości Literackie), kadencystyczne powiedzenie, że „wy” (mowa o młodych, zgrupowanych wokół dwutygodnika „Głos Literacki”), to... (pardon! nie powtórzę!) i tysiące innych gołosłownych, megalomańskich osądów, obliczonych na grę słów, lub autorytet nazwiska, wygłaszającego sąd, to najwiecej środki obrony przed młodymi, świadomymi swych celów i pragnień, twórcami.

Jeżeli wiele można zarzucić „najmłodszym”, nie można zarzucić im niepoważnego stosunku do sztuki i społeczeństwa, które sztuka reprezentuje. Nie można im zarzucić braku szukania własnej, przedewszystkiem ideologicznej drogi, ani snobistycznego kultu samouwiebiania się, rozpanoszonego wśród skamandrycko-kadenowskich koterij literackich.

Andrzej Wolica.

JEDEN PAN BIRKENMAJER...

Wiadomo, że indywidualność poety wyciska swe piętno na każdym jego utworze i że wystarczy nieraz przeczytać jeden wiersz, żeby przeczuć, co za rozkosze nas oczekują. Kierując się tą metodą, przeczytajmy uważnie pierwszy wiersz zbiorku „Ulica i droga”, autorstwa p. Birkenmajera a wnioski wysnute z rozmyślań nad nim poprzyjmy przykładami z pozostałych utworów.

„Z nóg swych, pątniku, pył podróży otrzep,
Wejdz — i dla ciebie lśni biesiadna mensa”.

Wiele obiecujące wezwanie do czytelnika. Może ktoś nie wie skąd się tu wzięła mensa, w miesce zwyczajnego stołu? Następny dwuwiersz, w którym p. B. dzieli się łaskawie z czytelnikiem niezwykle trafnie i głęboko spostrzeżeniem, dobitnie nam to tłumaczy.

„Duch twój, co błędnym krokiem się wałęsa,
Sztuki też łaknie — jednej z ducha potrzeb”.

Oczywiście: mensa — wałęsa. Kto teraz przeczyta całą zwrotkę, zauważy, jak subtelny ściegiem jest szyta. Nie daje mi tylko spokoju ta „mensa”. Proponowałbym autorowi, żeby w następnym wydaniu (napewno jest już w projekcie) zmienił ją na stół. Zawsze to i wygodniej i ludzie nie będą onieśmieleni wspaniałością mensy.

(Propozycja nie powinna nikogo dziwić. Wiemy, że redaktor literackiego dodatku jednego z pism stołecznych często szafuje takimi zaleceniami). Proponowana przemennie wersja tej zwrotki brzmiałaby tak:

„Z nóg swych, pątniku, pył podróży otrzep,
Wejdz i dla ciebie lśni biesiadny stół.
Duch twój, wałęsający się błędnie jak muł,
Sztuki też łaknie — jednej z ducha potrzeb”.

Jak widać filozoficzna treść zwrotki nie ucierpiała, głęboka sentencja zawarta w niej nie straciła nic ze swej trafności i dobitności, a ostrzej wystąpiła różnica pomiędzy lotnym umysłem autora i ocieżałem „pomysleniem” przypuszczalnego czytelnika. Zgoda, panie B.

Czytajmy dalej:

„Patrz! prometejską popełniłem zbrodnię:
Nakradłem z nieba tęczę, gwiazd i błyskawic,
Sprosiłem rzeszę pięknych mar-krasawic,
Byle cię przyjąć w domu moim godnie”.

Zaiste zbrodnię popełnił autor. Odważny jest chyba, jak Prometeusz i z dumnym czołem przyjmie nieprzychylnie rzeczy, które mogą go spotkać ze strony niepowołanych krytyków za: kradzenie z nieba błyskawic i za spraszanie „Rzeszy pięknych mar-krasawic”.

„Odłóż na chwilę topór swój czy lemiesz,
Tak jak parasol gość zostawia w sionce.
Wejdz w grono, gędzą i śmiechem tchnące,
Choć może spijesz się albo zadrzemiesz”.

Zwrotka całkiem jasna i zrozumiała. Autor jest, widocznie, bardzo silnym człowiekiem. Bierze sobie plug w dwa paluszki i stawia bez wysiłku w kąciu, tak jak „parasol gość zostawia w sionce”. Uwaga: „choć może spijesz się albo zadrzemiesz” niezwykle trafna. Są ludzie, którzy po przeczytaniu „Ulica i droga” będą chodzić jak

pijani, trzymając się za głowę, inni zaś nawet nad takim arcydziełem chrapną.

Jak widzimy, skrupulatna analiza wiersza dała nam dostateczny materiał do wyrażenia sądu o całym zbiorku.

Sąd ten poprzemy przykładami z innych wierszy zbiorku.

Większość tych wierszy przeniknięta subtelnością, stonowanym liryzmem. Miare tego stonowania dają dość liczne zdrobnienia. Naprz.: „parasol w sionce”, „domy szare ustronne jak tabaka w rożku”, „w ostatecznego sądu grając trąbki”. Czasem jednak liryzm ten napięciem uczucia sięga wyżyn dramatu. Zwróćmy uwagę ile siły wyrazu posiadają takie wiersze:

„On ją porzucił... jakież smutne sceny!”
(Piętro i suteryna).

Formalnie poezje p. B. odznaczają się wielką różnorodnością w budowie strof. Metafory i porównania soczyste, nieraz jaskrawością i żywocią znaczenia wałą czytelnika po fbie:

„Domy... o pradiadowskim, suchotniczym typie”.
„Pary zakochanej niedorzeczny gruchot”.
„Majtkowie w arkad ukryci pilastry”
(Ciasno im tam pewnie).

„Kinał (sic) wieńczy skrzypem chorągiewki chrapie”

„Więźba żeber — wychudłych — jak pierś, co już... nie śni...” (smutna sprawa).

„Licentia poetica” jest u p. B. królową języka. Częste nieprawidłowości językowe, niegramatyczności i przedziwne nowotwory dodają miłego smaczku poezjom p. B., a czytelnikowi wiercą śliczne dziury w brzuchu. Przykłady: „czyż się kiedy zdołają wyrazić powidom?” „w lat zaranie”.

„O poemacie dyskontów, odsetków!”

„Co kwitną niby zboża wśród poletków”.

„cyfer” — rym do kaloryfer).

„ócz” — (rym do) — „zmrócz” (piękne nowe słowo).

„dwaj andrusi coś usukbli”.

Można śmiało powiedzieć, że trudno znaleźć poetę, któryby lepiej traktował biedny język polski i nieszczęśliwą poezję.

Dobrze, że p. B. nie wydał swego tomiku w 1920 r. (większość wierszy z tego okresu). Był widocznie wtedy usposobiony krytyczniej do swoich wierszy, i dopiero po 7 latach odkrył w nich niezauważone dawniej zalety. Zostalibyśmy pozbawieni bardzo miłej i wesolej aż do spazmów uciechy. Kończę moją skrupulatną recenzję zbożną modlitewką: „Daj Boziu, dużo panów Birkenmajerów! Niech piszą dniami i nocami przez lata całe. Niech rozwija się przemysł papierniczy i fabryki atramentu niech coś zarabia. Byle nie wydawali tomików. Amen”.

„Ulica i droga” — Józef Birkenmajer. W-wa 1928. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Sir.

HEMOROIDA

CONTRA

HERMAFRODYTA

Wesoło!

W gronie stetryczalnych bubków o poziomie intelektualnym „lekkiej (djabli tam lekkiej!) komedji francuskiej” — bubków, redagujących tygodniczek dla niemowląt i prezosów, zwany popularnie „Światem”, postanowiono zrobić huczek. Bo to i reklama, panie dobrodzieju, i zasługa przed społeczeństwem — ba! — no i rachuneczki osobiste przy okazji.

Okazja się zdarzyła. Ktoś jeden nie został dyrektorem Teatrów Miejskich, a mianowali kogoś drugiego. Kto jest ten drugi — wiemy: pierwszy? Zda się, że jakiś — m. Napewno nie. Moraczewski, może Miłaszewski, a może ja (wszystkiśmy em — scy — nie o to chodzi. Fakt, że okazja).

Zaczęła się wojna. „Świat” stanął do góry nogami. Hemoroidy panów Czekalskich, Grabińskich, Krzywoszewskich nabrały rumieńców młodości. Różne światki i półświatki literackie pokazały zęby — sztuczne, ale jednak. Czy widzieliście kiedyś podagrycznego zaplutego staruszka w zalotach do dziewicy (!)? To mniej więcej tak wygląda.

Wojna przybrała wkrótce groźne oblicze, bo oto „eklektyczny” pan redaktor Grydzewski eklektycznie puścił w „Wiadomościach” artykuł St. Wygodzkiego „O zmianę frontu — Zadania poezji w Polsce dzisiejszej”. Nieostrożność p. G. polegała na wydrukowaniu kilku takich słów, jak np.: Broniewski, „Dzwignia”, proletarijat. To się dotąd zdarzało. No — tak. Ale wtedy dyrektorem Teatrów Miejskich był ten pierwszy. Walka trwa dotąd. I co? Zupełnie jak na meczu. Z początku przyglądasz się z zainteresowaniem, a potem trzeba koniecznie pójść na piwo.

Eklektyzm — to ważna sprawa, jeżeli chodzi o t. zw. bezstronność. Tu jednak widzimy, że nawet z konieczności eklektycznym być niebezpiecznie.

Radzimy p. Grydzewskiemu, aby zastosował metodę d-ra Boy’a:

Niechaj pan tych analfabetów z pretensjami do palmy akademickiej zaprosi na kawę z likierem. Trochę dobrze zrobionej serdeczności, trochę kiepskiej francuszczyzny (koniecznie kiepskiej!) — to łatwo. Uwierzą napewno i przyjdą. A wtedy — jak zaleca Boy — należy zgasić światło, dać pierwszemu z brzegu w głowę i spokojnie pójść za telefonować po pogotowie prywatne. A! To by się potłukli!

Upust krwi nie zaszkodzi, a powietrze będzie czyste chociaż na jakiś czas.

a. m.

„Denuncjacje” tygodnika „Świat” o działalności antypaństwowej „Wiadomości Literackich” nadawałyby się jako materiał na dowcip, gdyby za tego rodzaju dowcipy, wypowiedziane w towarzystwie, mającym jakikolwiek poczucie humoru, nie wyrzucano za drzwi.

Piętnujemy jednak wystąpienie „Świata” za bezwzględnie metody przenoszenia zadraśniętych ambicji na teren publiczny i strojenie tych wystąpień w szyldzik: „Walka o ideały literackie”.

NOWE KSIĄŻKI

Lidja Sejjulina. — Wiryneja. — powieść — przekład Marii Grabowskiej. — Warszawa — 1928. Tow. Wyd. „Rój”, str. 188 + 4 nl.

Niedawno, bo zaledwie przed 3 laty powstałe w Rosji sowieckiej zainteresowanie się pisarzy zagadnieniami ludu włościańskiego, spowodowało ukazanie się na horyzoncie dość znacznej ilości niezmiernie interesujących książek. Dziś poczet pisarzy regionalnych jest dość znaczny, a na czoło ich bezsprzecznie wybiega imię Lidji Sejjuliny, która w utworach swoich najprościej potrafiła zamknąć to wszystko, co ciemnego, nieoświeczonego chłopca rosyjskiego najbardziej gnębi i boli. Sejjulina zna doskonale psychikę swoich bohaterów, potrafi wczuwać się w najbliższe jej odchylenia. To też ostatnio przyswojona naszej literaturze „Wiryneja” trzyma napięcie czytelnika od pierwszej do ostatniej strony. Przekład p. Marii Grabowskiej — bardzo dobry.

Pantalejmon Romanow. — Serce Kobiety. — Przekład Binoma. — Warszawa. Tow. Wyd. „Rój”. 1928. str. 209 + 3 nl.

To nie nowela — raczej opowiadanie. Wskazuje na to nieskomplikowana konstrukcja, brak jakiegokolwiek „instrygi”. Akcja toczy się równo, bez gwałtownych zakrętów, bez niespodzianek. Pomimo to — opowiadania Romanowa nie są nieciekawe — są raczej, jeżeli można tak powiedzieć, chore. W założeniu, w tematach obieranych przez autora. W książce tej zamknął Romanow cały szereg bardzo ciekawych, niezmiernie wnikliwych uwag o ustosunkowaniu się kobiet do miłości. Najciekawsze i najlepiej opracowane są opowiadania „Serce kobiety”, „Jej warunki”, „Prawo do miłości”. Przekład — poprawny.

Felicja Kruszevska. — Sen. — Siedem obrazów. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Warszawa. 1928. str. 101 + 1 nl.

O sztuce tej, która wzniciła tyle dyskusji w całej prasie polskiej, pisaliśmy już w Nr. 12 „Głosu literackiego”. Należy tylko nadmienić, że Tow. Wyd. „Bluszcz” wydało ją bardzo starannie, w estetycznej szacie zewnętrznej.

Leon Kruczkowski. — Młoty nad miastem. — Wiersze. Kraków, 1928, skład główny Dom Książki Polskiej, str. 37 + 3 nl.

Wiersze, znanego nam już z „Gazety Literackiej” a debiutującego w książce, poety, znamionuje przedewszystkiem szczerość, bezsporność w wypowiedzianiu się, co jednak u niego mocno ujemnie wpływa na formę wiersza. Kruczkowski nie opanował techniki pisania. Jest, jak nieregularna rzeka, płynnie tysiącami koryt, nie zatrzymuje się ani na chwilę — sądźmy, że nie potrafi poprawić napisanego wiersza. Technika pisania — to ważna rzecz. Świadoma technika szczerzego tworzenia przychodzi z czasem. Trzeba mieć za sobą dużo pracy. Z „Młotów nad miastem” na wyróżnienie zasługują: „Prolog”, „Trzy strofy”, i „O kawiarni „Pod Pikadorem” wspomnienie”.

Bronisława Ostrowska. — Tartak słoneczny. — Poezje. Nakład F. Hoesicka. Warszawa, 1928, str. 75 + 5 nl.

Zapowiedziane przez firmę J. Mortkowicz, pośmiertne wydanie poezji Bronisławy Ostrowskiej, ukazało się nareszcie nakładem księgarni Hoesicka. Wiersze te powinny się znaleźć w ręku każdego interesującego się sztuką człowieka.

— J. Ignacy Kruszevska. — „Stara Baśń”. — Powieść historyczna w 3 tomach. — Nowe wydanie Arcta. Warszawa 1928.

Wznowienie wydawnictw wielkich pisarzy polskich, podjęte przez Zakłady Wyd. M. Arcta, należy powitać z wielkim uznaniem. Stanowią one bowiem cenne wzbogacenie naszej literatury beletrystycznej, do której wprowadzają bardzo pożądanymi pierwiastek historyczny i na zajmującym tle powieściowem malują dawne obyczaje.

Cykl wydawnictw rozpoczęty „Stara Baśnią”, powinien w całości znaleźć się w każdej bibliotece publicznej, szkolnej i korporacyjnej, a większość księgozbiorów prywatnych napewno bez niego nie obejdzie się.

Henryk Barbusse przybył do Moskwy na kilkunastumiesięczny wypoczynek.

W Palenkirchen (Bawaria), zmarł w 57 roku życia Victor Auburtin, znakomity esteta i literal niemiecki, człowiek o głębokiej kulturze i wszechstronnem wykształceniu w dziedzinie filozofii, historii i sztuk pięknych.

W Meranie odsłonięto w tych dniach pomnik sławnego tenora Battistiniego.

„Miasto bez Żydów”, film wytwórni niemieckiej, według powieści Hugo Bettauera, został przez cenzurę zabroniony na terytorium Nowego Yorku. W Chicago natomiast film ten wyświetlany bez żadnych przeszkód.

W Moskwie odnaleziono zbiór starych hebrajskich i arabskich manuskryptów, własność znanego badacza barona Ginsburga. Akademia Nauk w Moskwie zamierza najważniejsze z pośród tych dokumentów wydać w oryginale i tłumaczeniu.

Śląska Rada Wojew. przyznała Władysławowi Orkanowi w uznaniu jego zasług literackich, dar honorowy w kwocie 10.000 zł.

W dniu 24 czerwca r. b. podczas radiowej audycji literackiej, znany propagator zbliżenia Polsko-litewskiego, prof. uniwersytetu kowieńskiego Józef Albin Herbaczewski, wygłosił przed mikrofonem niezmiernie ciekawy odczyt „O współczesnej literaturze litewskiej”.

Drugą część audycji wypełniły recytacje utworów Słobodnika, Kruszevskiej i Maliszewskiego, w doskonałej interpretacji znanego recytatora i popularnego speakera radiostacji warszawskiej p. Ta-deusza Bocheńskiego.

W pierwszych dniach października, nakładem księgarni F. Hoesick w Warszawie ukaza się tom poezji: Jerzego Brauna, Aleksandra Maliszewskiego i Włodzimierza Słobodnika.

W połowie października r. b. nakładem uchiwskiej księgarni F. Hoesick ukaza się dwa debiuty powieściowe. Mianowicie: Konstantego I. Galfczyńskiego „Porfirjon Osielek false Hilarjon Gaff — czyli Klub Świętokradców” i Aleksandra Maliszewskiego „Wyspa obłąkanych”.

Ogłoszony przez „iWadomości Literackie” plebiscyt „Dwanaście najsympatyczniejszych bohaterów literatury polskiej” dał następujące rezultaty. Największą ilość głosów uzyskał Judyn („Ludzie bezdomni” Żeromskiego, 1.404). Z kolei idą: Zagłoba („Trylogia” Sienkiewicza 1.134), Jaosia („Ludzie bezdomni” 919), Kmicic („Potop” Sienkiewicza 783), Madzia („Emancypantki” Prusa 708), Wołodyjowski („Pan Wołodyjowski” Sienkiewicza 656), Basia („Pan Wołodyjowski” 647), Ryszard („Nawracanie Judasza” i „Zamieć” Żeromskiego 642), Wokulski („Lalka” Prusa 583), Rafał Obromski („Popioły” Żeromskiego 557), Rzecki („Lalka” 547), Petroniusz („Quo vadis” Sienkiewicza 510).

Bernard Shaw pracuje obecnie nad wielkim dramatem historycznym, którego bohaterem jest Oliver Cromwell.

Piąty numer białogrodzkiego pisma „Volja” zamieszcza artykuł prof. A. Pogodina p. t. „Adam Mickiewicz”. Prof. Pogodin jest profesorem literatury rosyjskiej na uniwersytecie w Białogrodzie.

W Paryżu otwartych jest obecnie kilka wystaw malarzy polskich. W Galerie Sambon wystawia p. Zofia Lewicka. W t. zw. Studio Scribe jest wystawa prac p. Niny Aleksandrowicz, wreszcie w Salon de L'Escalier wystawiają Wysota i T. Łempicka.

Rząd sowiecki ofiarował Maksymowi Gorkiemu na stały pobyt pałac ks. Woroncowa-Daszkowa na Krymie. Gorki spędzi całe lato w tej spaniałej rezydencji, a potem powróci do Moskwy, ażeby objąć stanowisko komisarza oświecenia publicznego.

Wychodzące w Budapeszcie czasopismo, poświęcone sztukom pięknym, „Magyar Művészet”, poświęca cały swój ostatni (trzeci) numer rozwojowi i dzisiejszemu stanowi sztuki polskiej. Tek-

ROZMAITOŚCI

sty są pióra dr. Feliksa Kopery („Dawniejsze malarstwo w Polsce” i „Rzeźba w Polsce”), dr. Mieczysława Tretera („Malarstwo polskie w XIX i XX wieku” i „Sztuka ludowa w Polsce”), dr. Alfreda Lauterbacha („Dawna architektura polska”) i Lucjana Korngolda („Dzisiejsza architektura polska”).

Nagroda Akademii Francuskiej im. Eugene Brieux za utwór dramatyczny, wynosząca 30 tysięcy franków, przyznana została Edwardowi Schneiderowi za sztukę w trzech aktach p. t. „Exaltation”. Zaznaczyć należy, że jest to największa nagroda, jaką kiedykolwiek Akademia Francuska przyznała za utwór dramatyczny. Laureat, prócz sztuki nagrodzonej, napisał utwory dramatyczne: „Les nuages sans eteiles” i „Le Dieu d'argile”. W utworach jego krytyka dopatruje się podobieństwa do dzieł Fr. de Curela. Schneider jest też autorem szeregu powieści i studjów, m. in. o św. Franciszku z Assyżu i o Eleonorze Duse. Sztuka nagrodzona była grana, parę miesięcy temu, w Genewie. W Paryżu zostanie wystawiona dopiero w sezonie zimowym.

KORESPONDENCJA

DO PANA REDAKTORA „GŁOSU LITERACKIEGO”

Złodziejskie przepisywanie in extenso utworów literackich, i podawanie ich za swoją pracę, bezczelna, przywłaszczona, bez zadanja sobie trudu zmiany choćby jednego wyrazu, świadczy już o wrodzonym kleptomaniście, którego niestety nie karze się u nas więzieniem.

W wychodzącym w Warszawie piśmie miesięcznym „Twórczość”, redagowanym przez niejakich pp. Berenta i Gasińskiego, w Nr. z datą 15 lipca, ukazał się wiersz mój „Szyn”, drukowany w dniu 5 grudnia 1926 r. w dodatku literackim „Głosu Prawdy”, dosłownie przepisany, pod zmienionym tytułem „Dał”, odpisany przez niejakiego pana Erazma Gordrana.

W odpowiedzi redakcji znalazłem odpowiedź, udzieloną temuż panu Gordranowi: „Wiersz dobry” (niezmiernie mi pochlebia tak przychylna ocena mojej pracy przez Szan. Redakcję pisma „Twórczość”), umieszczamy kolejno w następnych numerach”. Należy więc oczekiwać, że Redakcja „Twórczości” ma zamiar kontynuować współpracę z Panem, który, jak na początek, wcale dobrze umiał przepisać i podpisać cudzą pracę.

Sprawę oczywiście kieruję do Sądu, zaś p. E. Gordrana piętnuję za pośrednictwem Szanownej Redakcji „Gł. Literackiego”, jako złodzieja, przed którym ostrzegam kolegów autorów.

Andrzej Wolica.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

— Z. Z. — Praga. — Jeszcze nie do druku.

— Autorowi wiersza „Gwar”. — Wiersz ten jest ciekawy. Prosimy o staranniejse opracowanie formalne i powtórne nadesłanie do redakcji.

— J. Szcz. — Chelmno. — Bardzo prosimy o obecny adres Pana.

— E. Wern. — Za list dziękujemy. Wiersz — lepszy, ale jeszcze nie do druku.

— J. K. — Kraków. — Adres Tuwima — Warszawa, ul. Chłodna Nr. 6. — Wiersze Pani znamionuje specyficzny zapaszek grafomanstwa, nie dziwimy się zupełnie, że „Wiadomości Literackie” odpowiedziały Pani tak nieładnie. — Rękopis w koszu.

— M. Zol. — Równe. — „Płyną wiatry”? — Niech sobie płyną, „a w duszy zał”? — Do kogo? Chyba nie do nas. Zresztą — chociażby nawet — nie wydrukujemy.

— Marj. Gers. — Krościenko. — „Rozmowa o górach” — bardzo ładna. Nie możemy jednak zamieścić ze względu na ideowy charakter naszego pisma.

— Jerzy Jod. — Zakopane. — Jeden pan obiecał nam artykuł i nie dotrzymał słowa. W dwie godziny potem umarł.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Od Redakcji

NASTĘPNY NUMER „GŁOSU LITERACKIEGO” UKAŻE SIĘ W DNIU 1 WRZEŚNIA W OBJĘTOŚCI 6-CIU KOLUMN I ODTĄD BĘDZIE WYCHODZIŁ REGULARNIE.

MODLITWA O SŁOWO

POEZJE

CENA ŻŁ. 1.50

JAN ZEGRZE

SZWAJCARSKIE
: ZEGARKI:
: BIŻUTERJE:
: SREBRO:
: PLATERY
NA DOGODNYCH
WARUNKACH

WARSZAWA
N. ŚWIAT 30
TEF: 9-56

DOM TOWAROWY
: DEUGA 50 :
TEL. 126-44

Na Raty

MATERJE **K U R S U K N A**

JEDWABIE **C A N O B U W I E**

NAJTAŃSZE
: ŹRÓDŁO:
U B I O R Ó W

Na Raty

WARUNKI PRENUMERATY: Z przesyłką do wszystkich miejscowości Polski mies. 1.50 zł.; kwart 4.50 zł. — Zagranicą kwart. 2 dol. ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: UL. MŁYNARSKA 43, II-e piętro
OGŁOSZENIA: 1 mm szerokości 1 szpalty (tam 4-o szpaltowy) 40 gr. za tekstem, w tekście 50% drożej.
Red. J. PODHALICZ.

Konto czekowe P. K. O. 16380.

Drukarnia Techniczna Sp. Akc. Warszawa, Czackiego 3-5.